

# Łódź Odgłosy

Nr 10 (1695)

Rok I (XXXIV)

28 lipca 1991 r.

Cena 3000 zł

Mamusiu, chodź: powiesimy tatusia

## Godziny niedobrej nadziei

**H**alina Tomczyk miała lat dwadzieścia osiem, kiedy ją pod zarzutem zabójstwa męża Henryka zabrała milicja.

Ewa Tomczyk, córka Haliny, miała lat dwanaście, kiedy ją zabrała milicja, żeby odwieźć na Pogotowie Opiekuńcze w celu zbadań wszystkich okoliczności, w jakich to pomagała matce swojej, Halinie, w popełnieniu zabójstwa przez powieszenie.

Pozostała siódemkę: Damianka lat dziesięć, Heniusia lat siedem, Maniusię lat sześć, Iwonę lat cztery, Kaziczka lat trzy, Grażynkę lat dwa i Tomusia trzy miesiące zabrała do siebie matka Haliny, stara Gałęcka.

Jakby Halina między Damianem a Heniusiem nie spędziła dzieciaka, to by ich miała nie ośmiorno, a dziewięciorno. Ale spędziła. Sporyszem, taka suka, opowiadała Tomczykowa.

Inni mówią, że to mąż Henryk spędził. Kopniakiem w brzuch. Potem, gdy krzyczała: boli!, zamknął ją w stodole. I tam ono, niezwykłe podobno, pięć męskiej, sześciomiesięczne z niej wyszło. W tej stodole. Mąż Henryk zaraz sprowadził księdza. Do tego synka, zabił tego sporyszem. Żeby go ochrzcić. Trumienkę zakupił dębową ze złoceniami. Droga była ta trumienka. Krowę by za nią mógł prawie kupić całkiem niezłą, a dwie maciory to już na pewno.

Ale Tomczyka stać na dębowe trumny. Dwa traktory u niego na podwórzu, bizon i mały fiat.

Za trumienką szli: Henryk Tomczyk i jego matka, Tomczykowa niosąca na ręku Damianka, bo on wtedy dopiero zaczął na nóżki stać.

Halina nie szła. Halinę pogotowie zabrało do szpitala. Paznokcie miała już całkiem posiniałe. Coś jej tam w brzuchu od tego sporysza albo kopniaka popękało. Jakaś kiszka albo co. Nie wiadomo dotąd: co, ani tak naprawdę: od czego. Niewykluczone, że ją mąż Henryk nakopał właśnie za ten sporysz.

Mąż Henryk bił ją często. Miał za co, Panie święć nad jego duszą.

Prawda jest taka: jak suka nie chce, to psa do siebie w żaden sposób nie dopuści.

Jakby było tak, że Tomczyk Halinę w lesie zgwałcił, to dlaczego Halina z lasu nie powróciła najkrótszą drogą przez wieś, ale przywlokła się okrężną, tą od kładki przez rzekę? Niby taka pobita, sponiewierana, i tyle w sobie siły miała, żeby nakładać prawie dwa kilometry, szarpać się przez klujące rżyska, przez wądofy i rowy? I czemu to jej matka, Gałęcka, nie wyskoczyła na ulicę z lamentem, nie poleciała do telefonu u sołtysa, wydzwaniała pogotowie, milicję?

A nie poleciała, to fakt. Odczekała do ciemnicy. Wieczorem polazła prosto do Tomczyków, groząc kryminałem za gwałt na nieletniej. Henryk Tomczyk dobrze jeszcze nie wytrzeźwiał, wystraszył się, od razu zaczął pchać Gałęckiej pieniądze, wszystkie, co w domu, a miał ponad pięćset tysięcy na tamte stare, dobre pieniądze, nawet złoty sygnet z palca ściągnął, dotożył do gotówki. Dobrze, że Tomczykowa głowy nie straciła. Choć blada jak ściana, papier wyciągnęła, długopis, zawołała świadków. Pisz, suko, i podpisuj się przy ludziach, że żadnych pretensji więcej ani teraz, ani kiedy indziej wnieść nie będziesz.

I Gałęcka podpisała. Słownie kwotę pięćset tysięcy i osiemdziesięciu, bo na tyle świadkowie wycenili sygnet.

To ludzie zaraz zaczęli główkować. O tej drodze, dlaczego naokoło? Pobita podobno, do krwi żywej, ale w łóżku pod brodę koldra i tylko płacze, koldrę jeszcze wyżej aż po sam nos podciąga, tych piersiątek swoich poranionych nie chce nikomu pokazać? Niby prawda, że Henryk Tomczyk dawno już powinien być i żonaty, i dzieciaty, niezdrowo chłtopu po trzydziestce ciągnąć bez regularnej własnej kobiety, ale z drugiej strony, żeby aż gwałcić piętnastkę? Chudziutką i malutką? Jak tu tyle bez gwałcenia na niego leci, bo te dwa traktory, bizon i mały fiat?

Ani chybi odbyło się to tak, jak rozpowiadała Tomczykowa. Że Henryk, ten dureń, żeby w pysk od matki własnej za chłanie pod



Fot. H. Zajdler

sklepem nie dostać, polaził z wińskiem do lasu, tam sobie popił, a wtedy Halina się napatoczyła, chętna i do wypitki, i do tego drugiego. Żeby nie był opity, to by jej palcem nie ruszył, przecież każdy głupi wie, że za nieletnią paragraf, nawet jak sama majtki ściąga.

Ale opity był i to cały jego grzech, za który Gałęckiej zapłacił przy świadkach. Reszta cała to jej wymysł, musi przecież w jakiś sposób swoją suczkę przed ludźmi kryć. Sama ją tak skatowała za to, że wróciła do domu bez grzybów, ale pijana i bez majtek. Potem siadła i kombinowała, aż wykombinowała, że i przed wstydem się obroni, i zarobi za frajer niekiepsko.

Tylko jednego sobie Gałęcka nie wykombinowała. Że jej Halince brzuch urośnie.

Tym razem Tomczykowa ani za furtkę jej nie wpuściła. Dość ci zapłaciłim za naszą krzywdę, Gałęcka, a ojca dla bękarta szukaj gdzie indziej, krzyczała.

Ale w pierwszą niedzielę po Trzech Królach ksiądz od ołtarza zaczął o takich, co bezbronne dziewczyny zostawiają bez pomocy na pastwę losu razem z poczętym przez siebie owocem. Matko przenajświętsza, wstyd na całą parafię, głowy wszystkich odwrócili się jak po sznurku w stronę Tomczyków.

I dlatego Henryk Tomczyk, po otrzymaniu pozwolenia z sądu, wziął sobie za żonę nieletnią Halinę Gałęcką, a Ewie, jej córce, dał swoje nazwisko.

Ta Ewa do niego wcale niepodobna. Nawet nie wiadomo do kogo, bo do Halki też nie. Może tam jeszcze kto inny w tym lesie wtedy się włóczył, łasy grzybne, samochodami przy szosie przystają, i tak sobie przy okazji na koszt Tomczyka použíwał?

Może nawet i Tomczyk w ogóle jej nie ruszył. Opity był przecież jak świnia.

To i miał za co bijać.

A te dwie, matka z córką, nachapały się. Gałęcka pięćset tysięcy złożyła na książeczkę długoterminową, sygnet sprzedała, kupiła maciorę z prosiakami. Halina ślubna, zamiast potępiona, i co niedziela maluchem pod kościół zajeżdża. Więc Bogu powinna dziękować, a nie wierzyć.

Wszyscy pamiętają przecież, jak z Damiankiem w beciku i Ewą ciągniętą za rączkę biegła do swojej matki, Gałęckiej. W samej jednej sukience biegła, na boscie nogi wsunięte w gumki, a mróz był tęgi, śnieg po kostki. Myślała pewno, głupia, że matka ją wpuści. Ale!, i będzie z renty i tych procentów trzy gęby naraz żywić?

Indyk też myślał o niedzieli, a w sobotę mu łeb ucieli, nie? Dobięła, zastukała: Mamusia, to ja! Otwórz!

A Gałęcka zza drzwi: Wracaj do męża, Haluś.

Łomotała pięściami. On mnie zabije, mamusia.

Nie zabije cię, nie.

To ja się zabiję, mamusia.

Nie zabijesz się, nie. Dywany masz, krów

dziesięć, czego więcej chcesz?

Wróciła się i więcej już nie próbowała uciekać. Bo i dokąd by?

Tylko widać umyśliła dzieci więcej nie

Cd. str. 6

W numerze m.in.:

◆ Maria, czyli kwadratura seksu – kolejny odcinek rewelacyjnej powieści

strona 16

◆ Konkurs: Moja największa miłość

strona 9

◆ Sieradzki gwałcieł

strona 5

◆ Wstyd być człowiekiem

strona 4

◆ Nadmuchiwanie żab czyli gabinetowe zabawy dorosłych

strona 6

◆ Polak na Filipinach goły, ale wesoły

strona 7

◆ Jak legalnie kupić pistolet maszynowy?

strona 7

◆ Czy można odwołać pana prezydenta Wałęsę?

strona 3

**FF** PRZEDSTAWICIELSTWO FIRM **FORD**

zaprasza do sklepu

**Z CZĘŚCIAMI ZAMIENNYMI**

Łódź, ul. Julianowska 20  
godz. 9.00-17.00, tel. 57-79-44  
17.00-21.00, tel. 57-80-07

**BABY SHOP**  
oferuje tanie:

- odżywkę i akcesoria GERBERA
- kosmetyki JOHNSON & JOHNSON
- bieliznę, ubranka dla niemowląt i dzieci oraz

duży wybór zabawek renomowanych firm europejskich

Łódź, tel. 36-28-67  
Piotrkowska 144 36-28-14

Nie czekaj na ostatnią chwilę!!!

**Marbet**

bezpośredni importer zaopatruje w:

- art. szkolne
- art. piśmienne
- zabawki
- galanterię

**ZAPRASZAMY**

Łódź, ul. Brukowa 6/8 tel. 51-23-18 w. 91



● Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej postanowił wysunąć tylko 5 kandydatów na posłów. Wprawdzie Krajowa Komisja NSZZ „Solidarność” przyznała Łodzi 12 miejsce, ale finanse Zarządu Regionu pozwalają na kampanię wyborczą tylko dla 5 kandydatów. Kryzys dotarł i do polityki.

● Sejm RP przyjął uchwałę krytykującą nieobiektywną politykę informacyjną telewizji. Postanowiono, że ustawa o telewizji ma być przedstawiona pod obrady do 1 sierpnia 1991 roku. Telewizja nadal znajduje się pod krytycznym ostrzałem prasy. Powodem są pieniądze. Telewizja oświadczyła, że od 1 sierpnia tygodniowy program można otrzymać tylko za pośrednictwem Polskiej Agencji Informacyjnej. Każdy czytelnik, który kupi gazetę lub pismo tygodniowe z tygodniowym programem telewizji zapłaci za to 50 zł, bo tyle żąda telewizja od wydawców. Z tym, że telewizja chce 50 zł od każdego wydrukowanego – a nie tylko od sprzedanego – egzemplarza. Wiele biedniejszych redakcji zrezygnuje z tego. Inne? Na przykład dolnośląskie „Słowo Polskie”, ukazujące się we Wrocławiu, oświadczyło, że nadal będzie drukowało program i czeka na zaskarżenie ich do sądu. Wtedy wiceprezes Marek Markiewicz, który bardzo lubi stawać w sądzie, będzie musiał podać podstawę prawną telewizyjnej decyzji. Zdaniem „Słowa Polskiego” drukowanie programów jest reklamą telewizji. To, kto właściwie ma za to płacić?

● Przed prokuratorem stanął Henryk A., który w latach 1983-1990 pełnił funkcję sekretarza generalnego Rady Obywatelskiej Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. Przesłuchanie trwało 3 dni. Henryk A. przyznał się do zarzucanej mu niegospodarności. Obszernie wyjaśnił przebieg swojej działalności i działalności Rady Obywatelskiej w latach 1983-1990. Przesłuchiwanie będą również inni członkowie Rady Obywatelskiej.

● Z wrocławskiej fabryki „Torf Corporation” Spółki z o.o. wysłano do wielu miast, również do Łodzi, słynny już preparat profesora Tolpy. Jedno opakowanie „Tolpa tabletek” zawiera 21 drażetek i przeznaczone jest na pięciodobną podstawową kurację. Lekarstwo wydawane będzie tylko na recepty. Cena 252 900 zł. Do tej pory mówiono się, że „aby chorować, trzeba mieć zdrowie”, teraz doszły do tego jeszcze pieniądze. Biednemu zawsze wiatr w oczy.

● Rzecznik prasowy łódzkiego oddziału ZUS – Jerzy Pietrasik uspokoił rencistów i emerytów, których przeraziły telewizyjne „Wiadomości”, zapowiadające opóźnienie wypłat, rent czy emerytur. ZUS nie miał pieniędzy, bo zalegały mu zakłady optacjące składki. Zadłużenie tylko łódzkich przedsiębiorstw wobec ZUS wyniosło w czerwcu 100 miliardów zł. Z pomocą pośpieszył Centralny Fundusz Ubezpieczeń Społecznych oraz wicepremier Leszek Balcerowicz, który na pomoc ZUS przeznaczył 100 milionów dolarów, przeznaczonych na spłatę naszych długów. Renciści i emeryci ucieszyli się. Sytuacja gospodarcza państwa nadal jest zła.

● „Wifama” strajkować nie będzie. Załoga poczeka na zwłózkowe opinie w sprawie propozycji przekształcenia fabryki, które przygotowała niemiecka firma konsultingowa.

● Radna Rady Miejskiej, profesor Zdzisława Janowska była niedawno w USA, gdzie ze zdziwieniem stwierdziła, że w Polsko-Amerykańskiej Izbie Handlowej nie wiedzą o Łodzi. Profesor Zdzisława Janowska zaproponowała łódzkim przemysłowcom, aby wypełnili kwestionariusze o kondycji ich firm i wysłali je do USA. Amerykańscy biznesmeni chcieliby inwestować w Polsce, ale same apele i wezwania oraz deklaracje im nie wystarczają. Oni chcą mieć konkretne informacje. I na dodatek wiarygodne.

● Łódzka Izba Wyróżnień tylko w pierwszym półroczu 1991 roku przyznała 5 500 pijanym. Z obserwacji dyrektora wynika, że Polacy piją na umór. Pewnie najczęściej z okrzykiem: – Zeby nam się lepiej żyło!

● Ewa Szymczak – 24-letnia łódzianka, Miss Polski'90 – została najpiękniejszą Europejką w konkursie „Queen of Europe'91”. Przynajmniej w tej dziedzinie nie jesteśmy gorsi od innych.

B.M.

## Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”  
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś  
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.  
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5  
☎ 36-52-44  
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.  
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

W ybiliśmy się na niepodległość, a teraz za wszelką cenę (niestety obliczaną w setkach milionów dolarów) chcemy wybić się na europejskość. Obserwując postępy na tej drodze nawet największy optymistą musi przeżywać chwile zwątpienia i desperacji. Mimo iż geograficzna odległość do Zachodu zmniejszyła się o kilkaset kilometrów byleż NRD, to faktyczny dystans do Europy nie maleje. Wciąż pojawiają się górki i wznesienia ograniczające horyzont a kapitalizm staje się taką samą ideą fixe, jaką był socjalizm, którego realizację odkładano co pięć lat na następne dziesięciolecie.

Wśród rozmaitych grzechów głównych, z których przed konfesjonalami cywilizowanej Europy musimy się wyświadczać, jest występki piractwa. Nie wiem jak to jest w innych postkomunistycznych krajach, ale z tego co się słyszy i czyta w gazetach, Polska w tym przestępstwie wydaje się być niedościgniona. Piractwo w zakresie kaset filmowych i muzycznych, książek i programów komputerowych osiągnęło u nas rozmiary potopu, pośród którego nie widać tymczasem żadnej góry Ararat.

Czy prawo w Polsce niedoskonałe, czy też my, Polacy mamy jakieś genetyczne skłonności do jego omijania? Pewnie to prawda, że kodeksy są ułomne, zwłaszcza w sferze praw autorskich oraz że prawodawcy nie dbali zbyt wiele o zgodność swoich paragrafów z międzynarodowymi konwencjami. Ale prawdą jest również to, że nasze, polskie piractwo, które zaczęło się rozwijać od początku lat osiemdziesiątych, było orężem w walce z cenzurą i rozmaitymi barierami zabezpieczającymi jedynie słuszną ideologię. Czyli, inaczej mówiąc, to cenzura i polityka kulturalna PRL-u stworzyły piratów!

Fatalny i wybiórco traktowany repertuar kin oraz jednostajna nuda płynąca z ekranów TV – z jednej strony i, z drugiej, boom magnetowidowy, sprawiły iż nielegalnie kopiowana kasetka stała się koniecznością, tym bardziej, że o legalnych edycjach nikt wówczas nie śmiał pomyśleć.

A przyczyna druga, równie paradoksalna, jak ta wyżej wskazana, to swoisty liberalizm organów ówczesnej władzy wobec wideokase-

# Piraci i hakerzy

towego rynku. Owszem pisało się o jakichś działaniach milicji, która temu i owemu rekwirowała magnetowidy i kasety, o jakimś procesie o rozpowszechnianie filmów porno (bodaj sprawę umorzono) oraz o stratach kinematografii państwowej. Generalnie jednakowoż widać było, że organy zajęte czym innym, po paru akcjach przecież bezskutecznych, zrezygnowały ze swoich (wątpliwych) uprawnień. Wtedy ocknęło się Ministerstwo Kultury, którego jakiś departament wydawał zezwolenia na prowadzenie wypożyczalni, a ich właściciele płacili jakieś „podatki” dla ZAIKS-u. Myślę, że była to nie do końca legalna próba legalizacji nielegalnego.

Kiedy odeszła do historii Polska Ludowa, a wraz z nią cenzura, ostatnie tamy puściły i oto piraci, którzy – jak się rzekło – jeszcze do niedawna mogli nam wmawiać, że ich przestępcze tatusze to stymmaty drugiego obiegu, poczuli się jeszcze pewniej. Już za każdym rogiem widać był wypożyczalni, na każdej ulicy stał stragan z kasetami filmowymi i muzycznymi. Sytuacja taka trwa do dziś, mimo coraz liczniejszych ostrzeżeń i gróźb firm, które w tym buszu chcą działać lege artis.

Piractwo filmowo-muzyczne choć najbardziej rozpowszechnione (przy niewielkich nakładach kapitałowych może osiągnąć szybki i duży zysk, bo rynek wciąż chłonny) ma swoje odpowiedniki i w innych rejonach naszej „rewolucji kulturalnej”. Procesują się, ale bezskutecznie, że złodziejami książek wydawnictwa. Tu ulubieńcem piratów (jak pisze „Gazeta Wyborcza”) jest Alistair McLean, którego powieści, bez jakiegokolwiek znanego i bez starań o prawa autorskie, tkną w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozmaite „oficyny”. I tak powstaje nowy „drugiego obiegu”, ale tym razem kapitalistyczny, bo przecież nie o idee tu chodzi, ale o pieniądze i to niemałe.

Ostatnie lata multiplikują zjawisko piractwa. Wraz z kolejnym boorem cywilizacyjnym, tym razem komputerowym, pojawili się hakerzy. Haker (pojęcie z języka angielskiego, ale zaproponuję polską etymologię tego określenia od słowa „hak”) to odmiana pirata, który nie dbając o licencje i prawa autorskie upowszechnia („pożycza”, „wymienia się”, „daje”) programy komputerowe, bez których ów wynalazek jest bezmyślny jak stare żelazko.

Hakerstwo nie tak nagminne jak, opisywane wyżej, odmiany piractwa i jakby szlachetniejsza, bo wymagająca minimum informatycznej wiedzy, będzie trwać dotąd, dokąd nie zostanie uregulowany rynek komputerowy. Liczne firmy, które powstają jak kurki po deszczu, nastawione na szybki zysk, w większości przypadków „dodają za darmo” oprogramowanie do sprzedawanych komputerów przebijając tym konkurentów. A klienta nie obchodzi żaden Microsoft, Borland albo IBM. Zanim zrozumie, że pracuje na swoim komputerze posługując się kradzionym programem, zdąży parę razy go przekopiować i wymienić się z innym komputerowcem. A co mam robić? – zapyta jeden i drugi. I rzeczywiście. Wspomniane firmy dopięto teraz zaczynają myśleć o umowach i licencjach na programy: upływie w komputerach jeszcze wiele milionów bajtów zanim będzie można w Polsce pójść do sklepu i po prostu kupić określony software a nie hakować go z cudzego dysku.

Czytelnik tego tekstu może zasadnie zapytać: O co autorowi chodzi? Potępia piractwo, narzeka na niedostatki prawa, czy też usiłuje proceder hakersko-piracki wybielać? Jako legalista i obywatel państwa prawa oczywiście owe praktyki piętnuję. Jako klient i użytkownik przytykam oko. Póki nie mam innego wyboru...

Grzegorz Gazda

## Łódzka mozaika czyli jak cię widzą, tak cię piszą

Czytelnik tej rubryki przyzwyczaił się już do tego, że cytujemy w niej zazwyczaj ważne opinie polityków, będące nie tylko wykładnikiem nastrojów poszczególnych ugrupowań pretendujących do zdobycia wpływów w naszym kraju, ale także zapisem świadomości ludzi stojących najczęściej blisko wierzchołka władzy. Gorące lato nie wpłynęło na rozleniwienie wśród elit, co jest zrozumiałe wobec bliskiej perspektywy wyborów parlamentarnych. Ale w dzisiejszym przeglądzie będziemy się starali uciec od polityki, o ile to będzie możliwe. Postaramy się przedstawić Łódź w zwierciadle tygodniowej prasy.

„Łódzki taksówkarz zabił pasażera, który pozwolił sobie zauważyć, że rachunek – 25 000 zł jest zbyt wysoki. Jerzy W. zapłacił tylko 20 000 zł. Nie odszedł daleko – powaliło go kilka śmiertelnych ciosów bagnetem. W ujęciu mordercy pomogli taksówkarze” – rozpoczyna swój reportaż pt. „Taxi-gang” Zofia Ratajczak („Veto” nr 29 z 21 lipca 1991 r.).

Wspomniana zbrodnia jest tu tylko pretekstem do opisu sytuacji w branży taksówkarzy warszawskich. Natomiast Jacek S. Józwiak swój reportaż pt. „Łatwy chleb” zamieszczony w nr 29 „Prawa i Życia” datowanym 20 lipca br. w całości poświęca zjawisku prostytucji w Łodzi. Zaczyna swój tekst następująco:

„Dziwki łódzkie klną straszliwie. Jeszcze nigdy nie było takiego cichodajstwa jak teraz. Amatorzy potrafią sprzątnąć im klienta sprzed samego nosa. Potrafią bezczelnie zbić obowiązującą takse o czterdzieści, pięćdziesiąt procent. Wprost na ulicy, w hotelowym holu, tuż za drzwiami knajpy. Talantstwo rozwydrzyło się do tego stopnia, że bezradna bywa ochrona panienek. I co z tego, że jeden czy drugi Alf (to taka, bardziej dystygnowana nazwa sutenera – przyp. Zastępcy) przemodeluje cichodajną twarzyczkę, kiedy na wolnym miejscu natychmiast znajduje się następna amatorka.

Cena na seksualne usługi spadła w całym mieście. Nawet w renomowanych i słynących z profesjonalizmu lokalach.

– Człowieku – Alf z „Grandu” wbija mi się w ramie – co to się probiło? Miasto dycha, rozumiesz? Tu nawet dziwki są bezrobotne”.

Policjantka z łódzkiej obyczajówki, z którą rozmawia reporter jest zdania, że to dopiero początek zjawiska: na ulicę wychodzą mężatki i kobiety obciążone dziećmi. Kiedy taki proceder się wydadzie, często dochodzi do tragedii. Jacek S. Józwiak przytacza wypowiedź pewnego mężczyzny, z którym zetknął się w szpitalu, gdzie leży skatowana robotnica o imieniu Maria. Zakłady, w których pracowała, przestały wypłacać pensję, kobieta poszła więc handlować tym, na co jeszcze jest zbyt. Ktoś życzyliwy doniósł mężowi: przyłożył polowicy łamiąc jej szczękę. Teraz przyszedł do szpitala z kwiatami i zwierza się dziennikarzowi:

„Jeżeli nie znajdę roboty, to i tak nie puszcze jej na ulicę. Będę kradł”.

Poszerzający się obszar nędzy sprawił, że usługi erotyczne w Łodzi stały się tanie, nawet bardzo tanie.

„W tym mieście można się przespaciać z kobietą – proszę zauważyć, nie piszę jak w poprzednich dziesięciu odcinkach: mieć panienkę, nie piszę cena za numer – no więc można przespaciać się z kobietą już za 100 tysięcy złotych. 200 to już zupełnie przyzwoita kwota. I nie są to jakieś pozaklasowe szkarlatyny, ale zwykające, czyste, dobrze utrzymane dziewczęta. Roboćnice.

Za pół miliona można mieć skończoną i absolutnie piękną, przy której wyższa klasa średnia autentycznego półświatka wydaje się garbata, koślawa i pomarszczona.



Opis nocnej Łodzi Jacek S. Józwiak kończy stwierdzeniem:

„Kiedy nad ranem przejeżdżam obok „Foniki”, widzę transparent. Akcja protestacyjna. Tu już walczą. A jak przegrają, pójdą na ulicę...”

Wniosek reportera, robiony pod tezę reportażu, wydaje się nazbyt uproszczony. Ale wspomniana „Fonica” dostawała się na tony ogólnopolskiej prasy z okazji długotrwałego strajku („Odgłosy” piórem Beaty Kostrzewskiej pisały o nim szczegółowo). Popatrzyć jak odnotował w Radosław Januszewski z „Tygodnika Solidarność” (nr 28 z 12 lipca 1991 r.):

„W Łodzi jest już 75 tys. bezrobotnych. Do tego dochodzi bezrobocie ukryte. W Fonice szacują, że jeszcze 200 tys. ludzi. W zakładach są przestoje, a pracownikom płaci się nędzne grosze. Nie ma w tym mieście rodziny, której bieda by nie dotknęła. A gdzie restrukturyzacja, przeszkolenia bezrobotnych, prace interwencyjne? Nic dziwnego, że nie ma na to pieniędzy, mówią w Fonice, skoro majątek narodowy sprzedawany jest za grosze.

W ubiegłym roku Fonica przejęła się tym, co mówił rząd i wzięła swoje sprawy we własne ręce. Najpierw zajęła się telekomunikacją w spółce ze Szwajcarami. Decyzją rządu ten dział przejęli Hiszpanie.

Zaczeli produkować gazomierze wspólnie z Holendrami. Kontrahentowi, ze względu na politykę celną rządu, bardziej opłaciło się sprowadzać towar niż produkować go w Polsce.

Ulokowali pieniądze i nadzieję w sprzęcie nagłaśniającym nowej generacji. Zabrakło ochrony własnego rynku.

I tak dalej...

Fonica uwiertyla obietnicom władzy i dostała po nosie. Takie działania – mówią w Komitecie Strajkowym – zniszczą część zakładów pracy. O to chyba chodzi”.

Artykuł nosi tytuł „Fonica – gramofon się zaciął!”. Zastępcą przeciera ze zdumienia oczy – takie teksty dotyczących ukazywały się tylko w pańsaurbanowym „Nie”.

A cóż na ten sam temat ma do powiedzenia dziennik cotygodniowy wroga publicznego nr 1? W „Nie” z 18 lipca 1991 artykuł Stanisława Pelczara „Patefony Pana Prezydenta”, gdzie czytamy: „... 26 czerwca na spotkaniu w warszawskiej „Polfie”, nawiązując do strajku w „Fonice”, Pan Prezydent powiedział, że oni bankrutują, bo produkują stare patefony, które kiedyś wysyłał do Związku Radzieckiego. A ten, wiadomo, brat, co popadnie, nawet popusze”.

Natomiast prawda jest taka, że „w Fonice produkują płyty analogowe i kompaktowe, o zapisie cyfrowym. Eksportowali nie tylko do Związku Radzieckiego, ale i na Zachód. Współpracowali z Telefunkenem i Philipssem. Bywało za komunę, że 30 procent eksportu to był eksport na Zachód, do Europy, do której Pan Prezydent właśnie, jako nasza głowa, zmierza”.

„Do Łodzi – zauważa Stanisław Pelczar – poważny kapitał nie przyjdzie, bo miasto opanowała nomenklatura Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, oni tu rządzą. Ten kolor polityczny nie odpowiada zachodnim partnerom”.

„W Łodzi – kończy swoją relację wysłannik „Nie” – zarejestrowano już ponad siedemdziesiąt tysięcy bezrobotnych. Na jedną ofertę pracy przypada w tym mieście 91 bezrobotnych kobiet i 51 bezrobotnych mężczyzn. Sądząc jednak po telewizyjnych wystąpieniach, poseł Niesiołowski (ZChN), reprezentant Łodzi w Sejmie, ma poważniejsze problemy”.

Jakie problemy ma poseł Niesiołowski, tego Stanisław Pelczar już nie wyjaśnia. Tymczasem zupełnie przypadkowo i całkowicie niezależnie dziennikarzowi ze stajni Urbana przychodzi w sukurs Krzysztof Spychalski, który w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 29 z 21 lipca 1991 r.) w artykule „Francuski łącznik. Posłowi Niesiołowskiemu pozostała rola speca od moralności” opisuje pobyt tego działacza ZChN we Francji, gdzie wziął od gospodarzy 100 tys. franków „w imieniu organizacji kierowanych przez Drygalskiego oraz Dietla i długo faktu tego starał się nie rozgłaszać”. Nie tylko dlatego, że nie był on nigdy członkiem tych organizacji. Także dlatego, że pieniądze nigdy nie trafiły do osób, dla których były przeznaczone. Rzecz wyszła na jaw po przyjeździe do Łodzi mera Lyonu pana Michela Noir.

„Kiedy po wizycie przebrzmiały fanfary, w Łodzi nastąpił czas rozliczeń – pisze Krzysztof Spychalski. – Według Jerzego Drygalskiego, poseł Niesiołowski nie umiał wythunaczyć, dlaczego podpisał za kogoś kim nie był, dlaczego wziął pieniądze, także co z nimi zrobił”.

Nie musiał. „W kregach ŁTIS (Łódzkie Towarzystwo Inicjatyw Społecznych) do tego krążyć opowieści, jak to po czerwcowych wyborach parlamentarnych pan poseł widział się w roli marszałka Sejmu, a po listopadowym zwycięstwie Lecha Wałęsy – w gabinecie ministra spraw zagranicznych rządu maczenasa Olszewskiego.

Zdaniem dawnych przyjaciół posta – osób, z którymi łączyło go kiedyś także życie towarzyskie – jednym z głównych motywów jego politycznych decyzji jest kompleks przydatności w życiu politycznym postkomunistycznej Polski. Niesiołowski jest biologiem. W przeciwieństwie do wielu działaczy dawnego KOR, nie zna się na ekonomii, prawie czy biznesie. „Praca organizacyjna” w rządzie czy w terenie nie wchodzi w grę. Nie potrafi pisać jak Michnik ani zjednywać sobie ludzi jak Kuroń. Z natury rzeczy Stefanowi Niesiołowskiemu pozostała rola speca od moralności”.

Krzysztof Spychalski zapytał pana posła dlaczego wziął pieniądze przeznaczone dla kogoś innego i jak je zainwestował.

„Nie odpowiem. To walka polityczna. Jeśli chcą walki, będą ją mieli” – cytuje Spychalski Niesiołowskiego. Ta odpowiedź warta jest zapamiętania.

Zastępca

## Cofam swój głos oddany na Lecha Wałęsę

27 czerwca 1991 roku poseł z Łodzi, Bogdan Łukasiewicz wygłosił z trybuny sejmowej następujące oświadczenie:

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! „Reformując kraj, jego instytucje polityczne i administracyjne, jako Sejm, przyjęliśmy zasadę, że demokracja będzie naszą drogą rozwoju i kształtowania ustroju naszego państwa. Na tej drodze, nie sądzę, żeby Sejm był hamulcem demokracji. Demokracja to także kompromis i my tę drogę przechodzimy. Jest jednak też demokracja bezkompromisowa, którą reprezentuje Pan Prezydent RP Lech Wałęsa. Tę demokrację na własny użytek zaprezentował w dniu 23 czerwca 1991 r. po Mszy Św. przed Kościołem św. Brygidy. Było hasło „rączki do góry” i kto za. To „za” jest właśnie deptaniem Konstytucji, na którą Pan Prezydent przysięgał.

W związku z tym pragnę oświadczyć, co następuje. Wycofuję swoje poparcie, jakiego udzieliłem p. Lechowi Wałęsie w II turze wyborów na prezydenta RP. Wybrałem wówczas mniejsze zło, gdyż kierowałem się wtedy polską racją stanu i działałem z pobudek wyższej konieczności. Aktualna wizja demokracji Pana Prezydenta – Lecha Wałęsy, zwalnia mnie z udzielonego poparcia. W związku z tym udzielone wówczas poparcie dzisiaj cofam.

Tak jak Pan Prezydent Lech Wałęsa, ja również dla przeciwwagi pytam się, kto tak myśli jak ja i cofa swoje poparcie? Apeluję do wszystkich obywateli naszej Ojczyzny, aby się otrząsnęli i nie ulegali politycznemu szantażowi. Jeżeli chcecie żyć w normalnym, demokratycznym państwie i mieć wpływ na swój los, to odpowiedzcie na mój apel. Na adres Sejmu lub moje biuro w Łodzi przyslijcie list lub kartę pocztową z informacją: „Cofam swój głos oddany na Lecha Wałęsę w II turze wyborów na prezydenta RP” – podpis, imię, nazwisko, adres wyborcy.

Zwracam się do redaktorów prasy i środków masowej informacji o publikację mojego oświadczenia. Nadszedł czas pozytywnego myślenia i działania, aby zachować Polskę. Oprócz Boga, którego boi się Pan Prezydent Lech Wałęsa, jest jeszcze Naród – suweren Państwa Polskiego.

Za swoje czyny odpowiadamy więc przed Bogiem, Historią i Narodem. Świadom tego, oraz wyznając nauki naszego wielkiego rodaka, papieża Jana Pawła II, że Bóg jest w nas i każe czynić dobro, ja to dobro staram się czynić – i nawołuję do ochrony prawdziwej demokracji.

Gożąco proszę wszystkich tych, którzy podzielają moje stanowisko o odpowiedź na mój apel!”

## Rozmowa z posłem BOGDANEM ŁUKASIEWICZEM



**UWAGI SCEPTYKA**

Ludzie dobru duszni, zajęci krzątaniem dnia codziennego, którzy oglądali plajtę realnego socjalizmu, zarówno w wydaniu krajowym jak i międzynarodowym, zapewne nie podejrzewają, że bolszewizm odradza się i już zorganizował swoją jacejkę w naszym mieście. Nie chodzi przy tym o jakieś wyleniale, zastraszony resztki, jak to się obecnie mówi, starej nomenklatury, której nowa nomenklatura obiecuje kota pogonić i w skarpetkach puścić, ani o tych kilku nieprzejednanych wyznawców centralizmu demokratycznego i kierowniczej roli organizacji będącej awangardą produkcyjnej klasy społecznej, zbierających się w jakiejś piwnicy i, jak niektórzy sądzą, spiskujących przeciwko naszej odrodzonej demokracji. Tych ostatnich Porozumienie Centrum wytropi, odpowiednio potraktuje, zakonserwuje w słoju z formaliną i potem będzie pokazywać działwie szkolnej jako wymarły relikwiarz przeszłości. Rzecz idzie o prawdziwych bolszewików, takich, co to z nożem w zębach tworzą zupełnie nowy świat na gruzach starego.

Na to, że się bolszewia organizuje i nawet nie kryje swych zamiarów, zwrócił mi uwagę p. Błażej Torański w opublikowanym w „Dzienniku Łódzkim” nr 158 (z 9 lipca 1991 r.) „Zapise świadomości”. Ten dzielny dziennikarz, pewnie sobie tylko znanym sposobem, dostał się na konferencję poświęconą dekomunizacji w regionie łódzkim, zorganizowaną już po raz kolejny (!) przez Regionalny Komitet Obywatelski. Z ubolewaniem trzeba stwierdzić, że Urząd Ochrony Państwa zamierza swe obowiązki, bowiem bolszewicy przeniknęli i opanowali to szacowne acz mało znaczące gremium.

Oczywiście dla kamuflażu łódzcy bolszewicy podają, że są członkami różnych zacnych i pięknych organizacji, na przykład Federacji Młodzieży Walczącej, Konfederacji Polski Niepodległej, a nawet Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowe, ale bolszewizm wyciera z każdego ich słowa.

– Tego dnia końcową część obrad prowadziła wicemarszałek Olga Krzyżanowska. Jak argumentowała swoją propozycję, aby tego oświadczenia nie wpisywać do protokołu?

– Nie podała żadnych argumentów. Zaproponowała tylko, żeby moje oświadczenie w protokole pominąć.

– I co pan na to?

– Szybko przejrzałem Regulamin Sejmu i znalazłem w nim, że w artykule 82 mówi się, iż marszałek może wyłączyć z protokołu tylko takie fragmenty wystąpienia posła, które zawierają nieparlamentarne wyrażenia.

## Za nami już tylko ściana

nia. Moje oświadczenie niczego takiego nie zawierało. Zwróciłem się więc do Marszałka Sejmu o wpisanie tego oświadczenia do protokołu. W imieniu Marszałka rozmawiał ze mną pracownik Kancelarii Sejmu i zapewnił, że oświadczenie będzie wpisane. Sugerował, że mogą być jakieś skreślenia. Nie zgodziłem się na to i gdyby, mimo mego sprzeciwu, tak się stało, zwróciłem się do Komisji Regulaminowej. Uważam też, że pani wicemarszałek Olga Krzyżanowska postąpiła niezgodnie z Regulaminem Sejmu RP i z tego powodu należą mi się publiczne lub pisemne przeprosiny. Oczekuję na taki gest.

– Swoje oświadczenie rozesłał pan do różnych redakcji?

– Nie. Nigdy nie wysyłałem. Wręczyłem je tylko tym dziennikarzom, którzy obserwowali przebieg obrad Sejmu.

– Co zamierzał pan osiągnąć, występując z tym oświadczeniem?

– Obejrzałem w telewizji wystąpienie Pana Prezydenta Lecha Wałęsy przed plebanią kościoła św. Brygidy w Gdańsku i to mnie zbulwersowało. Może bym na to nie zareagował, ale byłem już świadkiem wielu wystąpień Pana Prezydenta w Belwederze, których wysłuchałem w całości, a nie we fragmentach obrobionych przez telewizję.

– Tak bardzo się różniły?

– Gdyby pokazano je w telewizji w całości, to wielu ludzi musiałyby zastanowić się: do czego zmierza Lech Wałęsa? Jego poglądy na demokrację mocno odbiegają od tego, co sobie na ten temat wyobraża prze-

ciętny obywatel RP. Doszedłem do wniosku, że takie oświadczenie jak moje musi paść prędzej czy później. Nie planowałem żadnej akcji wymierzonej przeciwko Panu Prezydentowi. Mam tylko nadzieję, że moje oświadczenie dotrze do niego. Być może w najbliższym czasie napiszę do Prezydenta Wałęsy list, gdyż wielu wyborców pisze do mnie i popiera moje stanowisko. A to zmusza mnie do zaprezentowania tych poglądów temu, kogo dotyczy.

– Dużo jest tych listów?

– Codziennie przychodzi kilkanaście. Są to listy, kartki pocztowe, które przychodzą pod adresem Sejmu RP. Mam dziwne podejrzenie, że nie wszystkie kartki docierają do mnie. Ostatnio jest ich bowiem mniej niż listów. Jeśli giną gdzieś po drodze, to dzieje

się źle. Uważam, że moje oświadczenie, poparte listami wyborców, pomogłoby Panu Prezydentowi zastanowić się nad jego publicznymi wystąpieniami. Pan Prezydent powołuje się na poparcie wszystkich obywateli, a to nie jest ani racjonalne, ani nie daje mu prawa postępowania, jak sam tylko chce. Wielu wyborców, tak jak ja, w II turze głosowało na Lecha Wałęsę, wybierając mniejsze zło. Poza tym trzeba pamiętać, że głosowało na niego tylko 38 procent uprawnionych do głosowania. I Lech Wałęsa musi to brać pod uwagę. Powinien zmienić swoje podejście do spraw państwowych. Jego działalność powinna stabilizować sytuację w państwie, działać mobilizująco na tych, którzy swoją pracą chcą przyczynić się do umacniania pozycji Polski w Europie. Powinniśmy starać się wspólnie myśleć o tym, co nas czeka, a nie ciągle rozdrapywać stare rany. W ten sposób niczego nie osiągniemy.

– Nie miał pan zatem na celu podejmowania jakiejś akcji. A może dążył pan do odwołania Pana Prezydenta?

– Nie. Żadnego takiego zamiaru nie miałem. Gdybym miał, to zwołałbym większą grupę, do której weszliby parlamentarzyści i wyborcy. Jednak nie wykluczam w przyszłości możliwości takiego właśnie działania, jeśli sytuacja się jeszcze zaostriży. Teraz chciałem tylko sprawdzić, jaki będzie społeczny odzew na moje oświadczenie.

– I co ludzie piszą?

– Popierają moją inicjatywę. Piszą, że nie odpowiada im demokracja w wydaniu

Cd. str. 4

## PREZENTACJE

## Andrzej Terlecki



Podchodzi z rodziny, która zapisała swój ślad w powstaniu listopadowym i styczniowym placąc za każdym razem uszczupleniem konfiskowanego przez zaborcę majątku. Jeden z pradziadków o nazwisku Stefan Jurczyński przebywał na zesłaniu w Tunce z Piłsudskim i był osobistym przyjacielem twórcy Odrodzonej Polski. Ale oprócz „socjalów” w tradycji rodzinnej dużą rolę odegrali także aktywni endocy. Namietności polityczne nie były obce temu rodowi.

Andrzej Terlecki, rocznik 1952, urodził się w Łodzi. Jego ojciec za akowską przeszłość był więziony w PRL. Wówczas to uległo zniszczeniu wiele rodzinnych dokumentów i pamiątek z Powstania Warszawskiego.

Andrzej Terlecki już w podstawówce interesował się historią, wygrywał szkolne zawody z wiedzy o przeszłości. Ale na jednym ze świądektw ma tylko trojkę z tego przedmiotu. To rezultat interwencji ojca jednego z kolegów szkolnych, zapieklonego aparatczyka w mundurze wojskowym.

W V LO im. Reymonta miał okazję dyskutować o zakładaniach peerelowskiej nauki historii na zajęciach z religii. Ks. Kazimierz Gabriel nie protestował, kiedy młodzież demaskowała białe plamy. Przyjął się zwyczaj przychodzenia do szkoły w odświętnych ubraniach w dniu 11 listopada. Pojawiał się także okolicznościowy plakat. Nikt go nie usuwał. Może dlatego, że jedna z profeserek, chemiczka, była krewną prezydenta Ignacego Mościckiego.

Myślał o studiach w uczelni artystycznej, nie dostał się jednak do szkoły plastycznej i zdał na filologię polską. Odkrył w sobie talenty sportowe, zdobył brązowy medal na akademickich mistrzostwach Łodzi w judo. Nie był zbyt aktywny politycznie, wystarczyło jednak, że podpisał parę protestów i uczestniczył w kilku półoficjalnych uroczystościach niepodległościowych, aby zainteresowało się nim SB. Już po napisaniu pracy magisterskiej o twórczości Andrzeja Wajdy, został zawieszony w prawach studenta. Opóźniło to datę ukończenia studiów.

W 1977 r. przeniósł się do Częstochowy, skąd pochodziła jego żona. Dostał pracę w lokalnej gazecie, prowadził dział sportowy i rolny. Dziennikarstwo pozwoliło mu poznać mechanizmy działania komunistycznej władzy, podziękował więc za etat i zaczął współpracować z prasą drugiego obiegu. Nie opuszczała go myśl o uczelni artystycznej, nie dostał się jednak na reżyserię.

W roku 1980 wakacje spędził w Bułgarii. W ciągu jądajacy do Polski z Wolnej Europy dowiedział się o strajku na Wybrzeżu i udał się od razu do stoczni szczecińskiej. We wrześniu zgłosił się w nowo powstającym związku zawodowym, został sekretarzem redakcji tygodnika „Solidarność Ziemi Łódzkiej”.

Za tę działalność zapłacił internowaniem, do lipca 1982 r. siedział w Łowiczu w dziesięcioosobowej celi.

Po zwolnieniu zaangażował się w „kospire”, współpracował z podziemnym „Bez dyktatu”, kolportował nielegalne wydawnictwa, został nawet wydawcą KPN-owskiej „Drogi”. Legalnie prowadził warsztat – galeria papiernicza i zabawkarstwo. Działał także w tajnych strukturach „Solidarności”.

W wyborach czerwcowych ubiegał się o miejsce w Sejmie, niestety, nie miał zdjęcia z Wałęsą. Działał w Towarzystwie Polska-USA (jest prezesem okręgu łódzkiego) i Łódzkim Towarzystwie Gospodarczym (był sekretarzem). Z ramienia „piłsudczyków” podjął współpracę z LPO i z jego listy został radnym. Do zarządu miasta wchodzić nie chciał, zdawał sobie sprawę, że jest „niestrawny” dla koalicjantów, na sesjach rady ma opinię osoby kontrowersyjnej, gdyż nie chce zrezygnować z własnych poglądów. Został za to delegatem do sejmiku samorządowego, gdzie wybrano go przewodniczącym. Swoim marszałkowaniem stara się godzić sprzeczności dla dobra regionu. Niekiedy jednak trudno mu zachować postawę arbitra – angażował się w walkę po stronie służby zdrowia, to znaczy nas wszystkich.

Ostatnio wszedł do Rady Politycznej KPN. Ale obok polityki pasją jego jest kolekcjonerstwo: zbiera piłsudczana i broń białą, interesuje go także polskie malarstwo dwudziestowieczne, gromadzi dokumenty i pamiątki rodzinne.

K.F.

Mało tego, czynią pozór, że to o walce z komuną im idzie. Wypisz, wymaluj, nasładowi niejakiego Josifa Wissarionowicza (nazwisko i pseudonim znane redakcji), który w latach trzydziestych też zaczął robić czystkę wśród komunistów, tych, co to w 1917 r. wywołali rewolucję i obalili cara Wszechrosji. Radykalną, zastosowaną wtedy metodą była czuność wobec faktycznych i urojonych wrogów nowego porządku i ich zdecydowane eliminowanie z życia publicznego. Taki Pawlik Morozow to nawet na własnego ojca donosił gdzie należy, że popiera stare siły, to znaczy kulacką nomenklaturę.

Jego ideowy spadkobierca, łódzcy bolszewicy zbierają siły, skrzykują się, a jak się skrzykną, to pióra i głowy polecą. B. Torański, który się im przysłuchiwał, pisze, że na przykład taki Piotr

jęwódzki i Radę Miejską. Jeden z nich – radny Ryszard Wojciechowski, który jak miemam miazmaty bolszewickiego myślenia wniósł, o zgrozo, do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, jak relacjonuje B. Torański – uważa, że „właściwie, poza wyjątkami, gdzie rządzi prawica, nie się nie zmieniło, (...) wicewojewoda jest ich, a Wydział Przemysłu znajduje się w rękach starej gwardii. Nawet prezydent Palka wykazuje niezrozumiały brak czułości i szkodliwy oportunizm, bowiem postawił na funkcji dyrektora kluczowego wydziału (?) dawnego porucznika służby bezpieczeństwa. Radny Wojciechowski jednak rzecz rozszyfrował i chociaż „przez dwa lata chodził do kościoła, więc myślałem, że to porządny człowiek”, ale przecież przyczajonego wroga nowego porządku wykrył.

## Uwaga: bolszewicy są wśród nas

Głowacki, przyczajony w szeregach Federacji Młodzieży Walczącej, uważa iż w temacie dekomunizacji w szkole nie zrobiono nic, a przeszłość stanowi Karta Nauczyciela, która walczy ręce. Wtórnie temu dzielnemu młodzianowi nie wymieniony z nazwiska nauczyciel z zasadniczej szkoły zawodowej, który przeniknął do Konfederacji Polski Niepodległej i wywodzi, że „duża część szkół stała się oazą nomenklatury, zaś z powodu głupich przepisów komunistycznych nie można dyrektorów szkół wyrzucić”. Stąd ów pedagog domaga się, aby Sejm uchwalił ustawę o dekomunizacji, a póki bicia prawnego na komunę nie ma, to „niech Walczak (domyślam się, że chodzi o łódzkiego kuratora – przyp. J. W.) ich wypieprzy”.

Inny bolszewik, pełen czułości rewolucyjnej Piotr Jaworski donosi, że „na uniwersytecie zajęcia ze studentami i seminarium prowadzą wciąż docenci pochodzący z aparatu lub byli oficerowie służby bezpieczeństwa. Nie zachowują oni ani poziomu naukowego, ani moralnego i nie ma możliwości ich usunąć”. Szkoda, że ów nowy czekista nie wskazał konkretnych przykładów. Według wypróbowanego schematu bolszewickiego rzecz sprowadza się do tego, aby znaleźć człowieka, to potem i paragraf na niego też się znajdzie.

Czujni bolszewicy patrzą również na Urząd Wo-

Jeśli znany z historii scenariusz powtórzy się, to najpierw nasi bolszewicy wytną i „wypieprzą” „stara gwardię”, potem zabiorą się za „młoda gwardię”, tę od grubej krechy, a potem, ciagle w trosce o czystość szeregów, przepelnieni czułością rewolucyjną, sami się „wypieprzą”, by postulić się tym zgrzebnym określeniem pedagoga dekomunizatora, którego wywodom przysłuchiwał się B. Torański. A kiedy wreszcie do tego dojdzie, ci co jeszcze będą mogli to zrobić, zapytają – po co w ogóle jedliśmy tę żabę na surowo?

Podobno jeśli w dziejach coś się powtarza, to zwykle w postaci groteskowej. Takimi groteskowymi bolszewikami w nowym wydaniu są ludzie opisani w „Dzienniku Łódzkim”. Mogą być groźni w swym bolszewizmie, tak jak brzytwa w rękach szaleńca lub zapalki w ręku dziecka. Dlatego należy przed nimi ostrzegać – ludzie uważajcie, są wśród nas! Pełni nienawiści i kompleksów, według sobie tylko znanych kryteriów dzielą Polaków na lepszych i gorszych oraz tych całkiem do niczego, prawo mają za nic, chcą stosować odpowiedzialność zbiorową i uważają się za jedynych depozytariuszy absolutnej prawdy. Są niebezpieczni, trzeba patrzeć im na ręce!

Jan Wolborski

Cd. ze str. 3

Pana Prezydenta. Piszą z różnych części Polski, ze wsi, miast, miasteczek. Ciekawe, że sporo listów przychodzi z Gdańska. Trafili się również listy, w którym jakiś korespondent z Wrocławia, na 4 stronach wymyślał mi od starego komunisty.

– I co pan na to?

– Nic. Po pierwsze, nie jestem stary. Po drugie, nigdy nie byłem komunistą. Nigdy prawdziwego komunisty na oczy nie widziałem, bo ci, którzy się za takich uważali, lub ich uważano, czy nadal się uważa, na ogół niewiele wspólnego z komunizmem mieli. I – jak Boga kocham! – chciałbym takiego komunistę wreszcie zobaczyć.

– A czy pańskie sejmowe oświadczenie, to przypadkiem już nie jest początek kampanii wyborczej?

– Teraz każdy ruch, jaki się wykona, może być tak odczytany.

– Czy to znaczy, że zamierza pan kandydować?

– Związkowcy z kółek rolniczych proponują mi kandydowanie. Z taką propozycją wystąpił też PSL. Jeszcze decyzji nie podjąłem. Ale walka się zaostrza i może mnie to wciągnąć. Tym bardziej, że przez Waldemara Pawlak zapropował mi, abym uczestniczył w pracach Komitetu Wykonawczego Rady Naczelnej PSL. Ze związkami rolników jestem razem od 10 lat. Jak z tego widać, nie ma ucieczki od polityki.

– Tym bardziej, że pana oświadczenie wywołało już pewien rezonans społeczny i polityczny.

– Napisałem je wieczorem, bezpośrednio po wystąpieniu Lecha Wałęsy w telewizji. Wówczas po prostu żywo reagowałem i

## Bogdan Łukasiewicz czeka na listy

nie pomyślałem, że to może być potraktowane już jako element walki wyborczej. Kiedy pisałem nie było jeszcze ostatecznego kształtu ordynacji. Nie mogłem więc rozpocząć swojej kampanii wyborczej, choć – powtarzam – tak to może być odebrane.

– Posłowie z PSL znani są z sensacyjnych wystąpień. A to poseł Jacek Soska odwołuje rząd premiera Bieleckiego, pan występuje z oświadczeniem, poseł PSL, Wojciech Mojzesowicz z Bydgoszczy, domaga się odwołania ministra Janusza Lewandowskiego, bo uściśnął dłoń komuś z „Weltineksu”, a ta

nie prezydencką. To jest zupełnie inny program. PSL przekłada pracę nad kapitał. Zakładamy wprowadzenie regulowanej gospodarki rynkowej. Uważamy, że gospodarka wolnorynkowa w polskich warunkach jest mrzonką. Liberalowie, którzy rządzą, nie mają do tego ani legitymacji społecznej, ani parlamentarnej. Ich poczynania mogą się fatalnie skończyć dla Polski.

– Dlatego poseł Jacek Soska wystąpił z wnioskiem o wotum nieufności?

– Tak. Rolnicy zostali postawieni pod ścianą. Nie mają już gdzie się cofać. Muszą

# Za nami już tylko ściana

spółka była umoczona w aferze alkoholowej. O co tu chodzi?

– PSL posiada własny program gospodarczy. W związku z tym, że polska gospodarka coraz niżej upada złożyliśmy już ofertę premierowi. Przedstawimy ją też wicepremierowi Leszkowi Balcerowiczowi. Proponujemy zastosować nasze rozwiązania. Mamy program alternatywny, który zgłosimy jeszcze przed wyborami. Bo dzieje się coraz gorzej.

– Czy jest to program Rafała Krawczyka?

– Nie. Program Rafała Krawczyka był robiony dla Romana Bartoszcze na kampa-

nię prezydencką. To jest zupełnie inny program. PSL przekłada pracę nad kapitał. Zakładamy wprowadzenie regulowanej gospodarki rynkowej. Uważamy, że gospodarka wolnorynkowa w polskich warunkach jest mrzonką. Liberalowie, którzy rządzą, nie mają do tego ani legitymacji społecznej, ani parlamentarnej. Ich poczynania mogą się fatalnie skończyć dla Polski.

– W tej sytuacji wydawałoby się, że ruch ludowy powinien łączyć się, jednoczyć, razem stawiać do walki. A ciągle jest wręcz przeciwnie. Dlaczego?

– Różne grupy rolników kierują się różnymi założeniami ideowymi i dlatego różne mają programy. Na przykład poglądy „Soli-

darności” Rolników Indywidualnych są zbliżone do poglądów Porozumienia Centrum i obozu belwederskiego. Oni próbują rozmów i z nami, i z Porozumieniem Centrum. To coś nie tak. W polityce wymagana jest stanowczość i solidność. Poza tym trudno teraz zawierać porozumienia, skoro istnieją obawy, że koalicję tworzy się tylko po to, aby wygrać wybory, a co będzie dalej, to już jest mniej ważne. I dlatego w województwie łódzkim zdecydowaliśmy się iść do wyborów razem z takimi organizacjami społecznymi ze wsi, które później nie zaczną działać na własną rękę. Partnerzy muszą mieć jednorodne poglądy i umieć bronić wartości istotnych dla całego społeczeństwa.

– Dlaczego odszedł Roman Bartoszcze?

– Okazuje się, że był on w jakiś sposób podstawiony. Związany był z obozem belwederskim, a jego pewne działania w ruchu ludowym były zadaniami zleconymi. Powoli to się ujawnia. Nie miał poza tym poparcia. Z 500 delegatów na Kongres PSL tylko 3 odeszło razem z nim.

– Czy wielka polityka interesuje jeszcze rolników?

– Powinna interesować. Chłopi muszą wiedzieć, na kogo i dlaczego będą głosować. Muszą wiedzieć, kto będzie odpowiadał za politykę gospodarczą w Polsce. Wielu chłopów głosowało na Lecha Wałęsę. Dziś, gdy na wsi zapytać, kto tak głosował, to nie ma takich, a ci, którzy się przyznają, to zaraz mówią, że tego żałują. Dziś chłopi chcą Bieleckiemu brodę wyskubywać.

Rozmawiała:  
Bogda Madej

## Smutne nieodwzajemnionej miłości przypadki

W schronisku dla zwierząt przy ul. Marmurowej zadzwonił telefon – kobiecie głos poinformował, że na ul. 11 Listopada leży pies z przetrąconą łapą. Na widok samochodu z „kogutem” na dachu od razu zebrał się tłumek gapiów, w oknach okolicznych bloków pojawili się żądni sensacji ciekawscy z lornetkami. W cieniu pod drzewem leżał obojętny na wszystko wilczur z opuchniętą, zaropiałą łapą. Towarzyszył mu bezdomny kundel. Chore zwierzę nie zareagowało na założenie smyczy ani na zastrzyk, pozwoliło sobie odwinąć zbyt mocno założony bandaż i przetransportować na noszach do samochodu. Z pyska ciekła mu krew – ktoś wybił mu przednie zęby.

Duży kundel waleśał się po osiedlu od kilku dni, sypiał pod budką telefoniczną. Czasem ktoś dał mu pić, rzucił jakiś kasek. Kiedyś pewnie miał dom, ale zestarzał się, znudził się właścicielowi. Pan wyjechał na wakacje i pozbył się go, wyrzucił jak wiaderko śmieci.

Na rogu Wojska Polskiego i Spornej inny pies siedział na przystanku przez dwa tygodnie. Długo bronił się przed zabraniem, nie mógł uspokajający zastrzyk. Nie chciał z nikim iść – czekał na swojego pana, który kazał mu tam warować, po czym wsiadł do tramwaju i odjechał w siną dal.

Na Wólcząńskiej na śmietniku znaleziono w worku psa, a raczej to, co z niego pozostało po waleniu nim o ścianę. Mieszkańcy posesji znali sprawcę, ale bali się podać jego nazwisko. Pan Janusz, kierowca ze schroniska, który zabierał nieszczęsne zwierzę, poprzysiągł, że na własną rękę znajdzie tajdaka, który to zrobił.

Wśród ludzi wciąż pokutuje opinia, że psy w schronisku są usypiane. Dopóki sprawą bezdomnych zwierząt zajmowało się MPO, istotnie tak było. Przez dziesięć dni pies był poddawany obserwacji, czy nie jest chory na wściekliznę, potem jeszcze przez cztery dni czekał na swojego pana, jeśli właściciel nie pojawiał się, zwierzę usypiano.

Od 1 stycznia 1989 r. pieczę nad schroniskiem przejęło Łódzkie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Mimo że w przytulku jest miejsce dla 70-100 bezpańskich psów, obecnie przebywa ich w nim ponad 150. Z konieczności usypia się tylko zwierzęta nieuleczalnie chore, po ciężkich wypadkach, bardzo stare lub wyjątkowo agresywne. Inne czekają nawet dwa lata, aż zaświeci dla nich lepsza psia gwiazda.

Kiedyś przyszedł do schroniska mężczyzna, wybrał psa, ale płacąc nieopacznie zastrzegł: „jak on nie będzie scekół, to ja go kolkkiem w łeb”. Odszedł z niczym. A gdyby trzymał język za zębami...

Zdarza się, że pies jest odprowadzany do schroniska przez swojego własnego pana. Większość ludzi opowiada wtedy bajeczkę o przybłędzie, a przecież łatwiej byłoby opiekować się i znaleźć nowego właściciela znając wiek, imię i upodobania psa. W schronisku przyjmowane jest każde zwierzę, nie przeprowadza się dochodzenia, ale po reakcji zwierzaka łatwo rozpoznać czy oddaje go jego właściciel, czy obcy.

Pewnego razu przyprowadzono 16-letnią sukę. Była głucha, ślepa, więc jej pan uznał, że

Brakuje odpowiedniego sprzętu, panowie przywożący psy mają do dyspozycji rozklekotanego tarpana, smycz, strzykawkę i dużo odwagi. Dopiero od niedawna wyposażenie samochodu stanowią nosze. Żeby zabrać psa do auta, kierowcy muszą prosić o pomoc przygodnych ludzi.

Łódzkie lecznice dla zwierząt sprywatyzowały się, więc wszystkie bezpańskie psy, które pogryzły ludzi są teraz przywożone na obserwację do schroniska. Gdyby u któregoś z nich wykryto wściekliznę, trzeba by uspić wszystkie psy, łącznie z tymi, które przebywają na przechowaniu w psim hoteliku. Darmowe przytulisko znajdują tu też zagipsowane połamańce, szcenne suki. Pielęgniarski pan Stasio wychowuje wszystkie szczeniaki i potem z ciężkim sercem przychodzi mu rozstać się z nimi.

Pan Józef był pielęgniarzem przez 25 lat,

Wszystkich przybyszów wita z daleka ujadający chór, psy głośno szczekają, ale jednocześnie merdają ogonami. Wspinają się na siatkę, wystawiają pyski, liżą wyciągniętą dłoń, jakby starały się przyciągnąć uwagę, wydać się miłszymi od innych. Jedne usiłują przypodobać się, inne nie ruszając się ze swoich miejsc wbijają w człowieka tepe spojrzenia. Może straciły już nadzieję na odmianę swego losu.

A ludzie mają wymagania. Zazwyczaj życzą sobie, żeby pies był tani, modny, rasowy, elegancki i niekłopotliwy. Najczęściej dopytują się o szczeniaki, określają dopuszczalną wielkość i wiek. „Za 50 tys. niektórzy chcieliby mieć od razu ułożonego dobermana z rodowodem – mówi dyrektor Towarzystwa Hanna Fibakiewicz. – Brzydale też znajdują nabywców, czasem ludzie ulitują się nad największą bidą”.

# Wstyd być człowiekiem



Foto: M. Zajdler

już nie nadaje się do pilnowania dobytku. Zostawione w schronisku zwierzę tak potwornie wyło z tęsknoty, że trzeba było dawać mu środki uspokajające, a w nocy z rozpaczny zdechło.

Gdyby nie Łódzkie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, schronisko miało poważne kłopoty. Właściciel obiektu – PGM Łódź-Widzew – nie poczyna się do remontów, ale miesięczne komorne w wysokości 4,7 mln zł skrupulatnie egzekwuje.

Obecni gospodarze postavili porządne ogrodzenie, wybetonowali boksy, wymienili siatkę, zbudowali chłodnię. Zdobył gdzieś eternitem pozatykali większe dziury w daszkach, ale woda dalej kapie psom na łby.

ale nawet po przejściu na emeryturę nie mógł opuścić swoich podopiecznych. Lekarz pan Olek za swoje pieniądze leczy cudze psy, za darmo daje lekarstwa. Pan Piotr przyszedł pracować jako kierowca na umowę zlecenie i „wsiał”. „Przetamałem strach – mówi – i z prawdziwą satysfakcją pomagam zwierzacom. Człowiek powie co mu dolega, pies nie może poskarżyć się na swoją krzywdę. Mam miękkie serce, więc kiedy wiozę samochodem psa po wypadku, jadę wolniutko, czasem wracam i przez półtorej godziny, żeby nie powiększać jego cierpienia”.

Za stosunkowo niewielkie pieniądze można kupić sobie przyjaźń i dozoną wdzięczność.

Kiedy człowiek nie umie obchodzić się z psem, twierdzi, że zwierzę jest wściekle i trzeba je uspić, tymczasem odpowiednio traktowane zazwyczaj okazuje się ufnie i spokojne. Zapomnieliśmy jak obcować ze zwierzętami, odzwyczajiliśmy się od przyrody. Zdarza nam się zachowywać, jakby beton zalał nie tylko nasze osiedla, ale szczelnie wypełnił serca i mózgi.

Dyrektor Fibakiewicz czasem opadają ręce. „Prasa zawsze latem o tym pisze i Gucwińscy przypominają: nie ruszajcie znalezionych w lesie zwierząt! Jak nazwać faceta, który zabrał małą sarenkę, „bo nie uciekała”? Potem dzwoni i pyta dlaczego zwierzątko marnieje mu w oczach, przecież on je karmi biszkoptami z makiem! Ludzie znajdują na ulicy psa i zamiast od razu odwieźć go do nas, trzymają go dwa miesiące, dają nadzieję, a kiedy się znudzi – odstawiają do schroniska”.

Młody mężczyzna z dwójką dzieci i żoną w zaawansowanej ciąży przyprowadzili do schroniska 1,5-letniego małego, czarnego kundelka. Twierdzili, że piesek „szkodzi żonie na ciąży”, a tak właściwie to chcieliby wymienić Perlekę na innego pieska (!). Pielęgniarski zabrał opierające się zwierzątko, a bezduszną, niefrasobliwą rodzinę odesłano do domu.

W schronisku przy ul. Marmurowej najłatwiej można sprawdzić zasadność myśli, że miarą naszego człowieczeństwa jest stosunek do zwierząt i poznać sens powiedzenia: wierny jak pies. Kierowcy przywożący do przytulku bezdomne psy twierdzą, że czasami wolą pracować ze zwierzętami niż z ludźmi. Pies nie jest fałszywy, wiadomo, czego można się po nim spodziewać. Ma prawo ugryźć, gdy się broni, ale nigdy nie potraktuje żywej istoty jak zabawki, nie uderzy kijem, nie wybije zębów kamieniem. Wiernie podąży za swym panem i będzie go kochać, choćby był największym tajdakiem i na psią miłość nie zasługiwał.

Monika Matuszak

## Kobieta zawsze pada ofiarą

Czerwcowy program „997” Michała Fajbusiewicza zbulwersował opinię publiczną sprawą gwałciela, „działającego” na trasie Sieradz – Zduńska Wola – Łask, który:

- 1 lutego br. na drodze z Kolumby do Ostrowca napadł wczesnym popołudniem na 43-letnią kobietę. Grożąc nożem – pobił ją, zgwałcił i okradł;
- dokładnie w trzy tygodnie później w Zduńskiej Woli na ulicy Szadkowskiej napadł na 21-letnią dziewczynę. Pobił ofiarę, zgwałcił, obrabował;
- w kilka dni po tym gwałcie zaatakował w biały dzień jadącą rowerem ze wsi Młodawin Górny do Zduńskiej Woli 23-letnią kobietę. Skopał, zgwałcił, zabrał pieniądze i rower;
- po południu, 18 kwietnia, na drodze z Niecunia do Pruszkowa (koło Sędziejowic) zaatakował nożem jadącą na rowerze 38-letnią kobietę, która broniła się tak rozpaczliwie, że chociaż poraniona i pobita, do gwałtu nie doszło. Bandyta obrabował ją natomiast z 230 tys. złotych.
- 11 maja na drodze między Porębami a Polko-

nie ogromna piana z hasłem wypisanym równie ogromnymi literami: WIELKI SZMAL. Alifci nie była to informacja, jak ów szmal w Sieradzu zdobyć. To, niestety, tylko reklama amerykańskiego filmu.

Pod kinem dwóch rozchlepanych facetów raczyło się piwem. Zaśpiewałyśmy co wiada o sieradzkim gwałcieli.

– *A panie co, też reflektują?* – rzucił jeden z nich dowcipem, ale zaraz spoważniał: *A innych tematów w tym cholerym Sieradzu nie możecie poszukać?*

– *Na przykład?*

– *A na przykład jak z robotniczego hotelu wywalają ludzi.*

Hotel do tej pory należał do Sieradzkiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Ale teraz ma nowego właściciela i nowy właściciel, Kuratorium Oświaty i Wychowania, nie życzy sobie mieć dawnych, zasiedziałych lokatorów. Miejsiczne wypowiedzenie przypomina do złudzenia metody kapitalizmu z okresu Ziemi Obiecanej. Dwadzieścia rodzin musi

## Sieradz „w temacie” gwałcieli

wem zgwałcił, skatował i obrabował czterdziesto- paroletnią kobietę;

– 14 maja na leśnej ścieżce z Wrowicz do Łasku dokonał bestialskiego gwałtu na kolejnej ofierze;

– 1 czerwca wczesnym popołudniem też na leśnej drodze w miejscowości Ostrów (gmina Łask) z pobiciem, grożeniem nożem i rabunkiem.

Gwałty, dokonywane na tak niewielkim obszarze, w biały dzień, wywołały prawdziwą psychozę strachu wśród mieszkańców tych terenów. Im już horror w sobotnim kinie telewizyjnym nie były potrzebne – mieli swój własny, z rzeczywistym psychopata w roli głównej. Bały się nie tylko kobiety. Nóż, nieodłączny rekwizyt bandyty, wystraszył również mężczyzn.

Wszystkie ofiary opisywały go niemal identycznie: wiek 35-40 lat, szczupły, dolna szczęka wysunięta, jasne włosy, zniszczona cera. Niektóre do tego opisu dorzucały charakterystyczną, „kozią” bródkę. Inne – wasy. Ubrany w granatową kurtkę, czarne spodnie. Czasem nosił czapkę z daszkiem.

Seria gwałtów, wyjątkowo bestialskich i brutalnych, z kopaniem, duszeniem, groźbą użycia noża postawiła sieradzką policję w stan pogotowia. Ale gwałcieli jakby sobie z niej kpili: w ciągu jednego tylko miesiąca maja w krótkich odstępach czasu trzy napady, trzy gwałty. Gdzie się pojawił teraz? Kto będzie następną ofiarą? Przemyskał jak widmo, mógł być wszędzie, na każdej drodze, szosie, za każdym rogiem, w każdej ciemniejszej bramie. Horror trwał.

Dopiero program „997” wywołał w przerażonej ludności odrobinę nadziei. Anonimowy wciąż przestępca, po przedstawieniu w telewizji dokładnego, charakterystycznego portretu pamięciowego, musi stracić bezcelną pewność siebie, ktoś go wreszcie rozpozna, sygnały od ludzi zaczną wyznaczać jego ślady.

I rzeczywiście. Już w parę dni po programie Michała Fajbusiewicza, kasjerka ze stacji kolejowej w Kolumbie, w kliencie kupującym bilet rozpoznała poszukiwanego. Wszczęła alarm. Bandyta jednak już był czujny. Zdołał uciec pogoni.

Sygnal z Kolumby świadczył dowodnie, że to „swój” człowiek. Że musi być „stad”, gdzieś tu w pobliżu mieszkać.

10 lipca, dzięki skutecznej i operatywnej akcji policji sieradzkiej gwałcieli wielu kobiet, postrach okolic, został ujęty. Można powiedzieć, że ten sukces potwierdził jej zasłużone, trzecie miejsce w kraju pod względem wykrywalności przestępstw: aż 73,5 procent!

Bandyta okazał się 35-letni Leszek S., nigdzie niepracujący mieszkaniec Sieradza, uprzednio również karany za gwałt. Łódzka prasa podała, że Leszek S. jest rozwodnikiem; zaś nowy sieradzki tygodnik „Gonic” – że kawalerem. Być może rozbieżności te powstały na skutek skąpych informacji policji sieradzkiej. Na konferencji prasowej zasugerowano miejscowym dziennikarzom, żeby o sprawie pisać delikatnie. Ta powściągliwość w „ujęciu tematu” co nieco zdumiała dziennikarzy. Może jednak szło o to, aby sukces policji sieradzkiej nie został przypadkiem przypisany prokuraturze w Łasku? Bowiem tam, w Łasku – a tak podano na konferencji prasowej – Leszek S. ukrywał się, i tam – w Łasku zatrzymano go do dyspozycji miejscowej prokuratury.

Z reguły informacje o tego rodzaju przestępstwach kryminalnych są bardzo obfite; podają szczegóły niczym nie naruszające dobra śledztwa, za to uspokajające opinię publiczną. Chcąc do takich właśnie, mniej ogólnikowych wiadomości dotrzeć.

**JEDZIEMY DO SIERADZA,** przekonane, że Sieradz żyje sprawą „swego” gwałciela. Jest upał, duchota, mimo bliskości Warty niebo nad Sieradzem ani trochę nie czystsze niż nad rodziną Łodzią. Języki obce biją nas po oczach wsząd, z każdego szyldu i szyldziku – też jak w Łodzi. Sklep na zapleczu Galerii Sztuki, który sprzedaje nasze swojskie szkło krośnieńskie nazywa się – a jakże by inaczej! – GLASS.

GLASS nie glass, lecz obyczajnie skądinąd dobrze zapoznane: sklep zamknięty, na drzwiach po polsku już, że ZARA WRACAM. Miły też jest widok podtatasałego pana w krótkich majtkach, z obandażowanym kolanem i zapiętą na dolny tyłek guzik koszulą, z której wylewa się gołe, obfite brzuszysko. Naprzeciwko galerii podniecała naszą wyobra-

szukać od „natychmiast” dachu nad głową. Z Bogiem sprawa, jeśli mogą powrócić tam, skąd przyszedli: na wieś. A ci, co nie mają dokąd pójść? Jak na przykład ta kobieta, samotnie wychowująca kilkunastoletnią córkę? To nie jest pytanie ze Zgaduj Zgaduli, ale z rozpowszechnionego ostatnio cyklu: Proszę aktualnych władz! Jak mam żyć dalej?

I w tym punkcie relacji panom, którzy popijają Lecha pod plakatem WIELKI SZMAL, zaczynają chodzić szczęki. A może, kto wie – i przyszłowiec szczyrzyki otwierają się im w kieszeniach.

– *Bo psa z kula w nogę w tym mieście nie interesuje, jak żyją ludzie!* – ciska jeden.

– *A coż to panom tak źle? Relaksujecie się piwkiem w środku dnia... więc o co idzie?*

– *A o to, że od pół roku jestem bez roboty! I jeśli bym nie podłapał czegoś na czarno, to rodzina by mi na kuroniówce zdechła!*

– *A żona?*

– *Żona, proszę taskawej pani dziennikarki, też na zielonej trawce! W ramach tak zwanych zwolnień grupowych.*

– *Dużo bezrobotnych w Sieradzu? Wiecie coś na ten temat?*

– *A jak pani myśli, o czym rozmawia się, stojąc po zasiek? Takich darmozjadów jak ja i moja żona jest w Sieradzu podobno już sześć tysięcy. W całym województwie dziewiętnaście. A wy tu nam zasuwacie o gwałcieli! A może by tak o takim z nowej sily przewodniej, co to się rozbiła służbowym samochodem po pijaku z coraz to inną obok narzeczoną napisać?*

– *Ty, nie wrzeszcz tak, ludzie posłysz – ten drugi łapie kumpla za rękaw koszuli.*

– *Czego się boisz, cholera? Już niedługo też upadniecie razem z tym swoim „Tormetem”! Niech boją się ci, co jeszcze mają gdzie pracować. Od nich szanowane panie niewiele się dowiedzą. Oni to teraz ze strachu mordy w kuleb.*

Trzeba przyznać, że zrobiło się nam głupio. Nawet dziennikarskiego „dziękujemy za rozmowę” powiedzieć nie wypadło. I tak, zamiast głosów opinii publicznej w kwestii gwałciela, otrzymałyśmy porcję gorzkiej rzeczywistości.

Pani w Cepeli, gdzie już tylko smętne resztki ludowego rzemiosła wetknięte między futrzaki z Grecji a paskudne szkło żółte nawet nie w Krosna, okazała się bardziej rzeczową rozmówczynią i zamiast opowiadać o upadku firmy, pogadała z nami o gwałcieli. Tyle że wiedziała o nim mniej więcej to samo, co my. Czyli tyle, co nic. Słyszała, że go złapano, ale miała za złe, iż „nazwisko takiego bydlaka nie zostało podane do wiadomości ogółu. Bo takiego i tak po paru latach odsiadki wypuszczą, a kobieta nie tylko pada ofiarą bestialstwa, lecz często tak zwanej „opinii”. Nie brakuje durniów, którzy potrafią powiedzieć: a kto ja tam wie? Gdyby się broniła, to by jej nie zgwałcił. Ciekawe – ciągnie dalej pani z oburzeniem – że wszyscy już na przykład wiedzą: ofiar było aż jedenaście, zaś w „Gońcu” pisali o siedmiu tylko! Więc ile było naprawdę? Dobrze, że ktoś nie związany z Sieradzem, chce się tym zająć.

**DZIEŃ KOBIEC WASZ, NOC NASZA! MEŻCZYŹNI** –

– *pewno w innym wypadku obśmiałybyśmy się z tego pysznego, męskiego hasła wypisanego na długim płocie w samym centrum Sieradza, lecz jakoś nie do śmiechu nam było. Do gwałciela należał wyłączenie dzień. On dnia się nie bał. Na wszystkie kobiety napadał między godziną 11. a 21. No i rzeczywiście: ile ich było, tych pokrzywdzonych, skopanych, zmaltretowanych i poniżonych?*

– *Na bazarze pod „Bartkiem” zatrzymałyśmy się koło zielonej budki z importowanymi różnościami.*

– *Pani! ruskich to pani nie widziała? Nie ich dzień? Bo jakby wymiecione te ruskie – słyszymy za sobą głos. Kobięcina w chustce i pepegach, ze zniszczoną portmonetką w garści nie nas zaczepia, ona tak do damy straganowej.*

– *Jakby była z Sieradza, to by wiedziała, że ruskich w piątek ganiała po całym bazarze policja. – wyjaśniła wyniośle straganowa dama. Miała silny makijaż i ostro tonione na blond włosy.*

– *O Jezusie święty, a ja mam imię starego, i gdzie ja tera tanio gorzałę kupię?*

Kobięcina zawiędzona odeszła, a my wdaliśmy się w pogawędkę z damą. Damy gwałcieli nie obchodził, ona ma swoje zmartwienia. Budka jej zielona, a każą kupować czerwoną, chociaż to ko-

lor dziś niemodny i zgola kompromitujący. Rzecz w tym, że Zarząd Miejski wypowiedział wojnę PSS o bazarowy teren. PSS zagospodarowała targowisko, odprowadzała do kasy miejskiej należne jej profity, lecz Zarząd Miejski w trosce o nowy wystrój zamiast zielonych budek, życzy sobie mieć czerwone. Jugosławiańskie. Te sprowadza jakaś spółka. Afera „Schnapgate” to to nie jest, lecz czy ktoś na „czerwieni” dobrego interesu nie robi, wykluczyć nie można.

– *Tych ruskich niby przez „stoliczną” i koniaki pogonili – zagadała się dama – Ludzie! trzeba to było zobaczyć: zatrzymali aż całych trzech. Nawet w „Gońcu” można poczytać, jak tu dzielnie było.*

No to poczytaliśmy: Akcja na Szaberplacu”. Rosjan rzeczywiście zatrzymano całych... trzech, bo „kto sprzedaje lub podaje napoje alkoholowe (–) bez wymaganego zezwolenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat dwóch”.

Za zezwoleniem władz i z koncesją – obok, w „Bartku”, sprzedawali zaś słiczny, własnej roboty spirt, wzmocniony metylem – ale już nasi. Ciekawe, jakie sankcje karne wyciągnie w stosunku do nich prokurator?

**CO TO JEST SŁUP JANOWSKIEGO?** to tak dobrze my jeszcze nie wiemy. Ale dowiadu-

jemy się, że stoi w Zduńskiej Woli. Wielgachna ulotka, rozlepiona na przystanku autobusowym przy ulicy Jana Pawła II, dawnej Armii Czerwonej, przyciąga wzrok przechodniów. „BZDURY Z CHMURY” głosi. Z treści wynika, że Chmura to redaktor z „Nad Wartą”, a autor ulotki, obywatel Józef Janowski, mieszkaniec Zduńskiej Woli, musi być silnie zaangażowanym w politykę.

Wnikliwie wczytaliśmy się w tę niecodzienną polemikę wprost z muru. Nie tylko nas zainteresowała. Wysoki blondyn rzucił swój komentarz: Ludzie już całkiem poszaleli.

– *Dlaczego, proszę pana?*

– *A tego tu panie nie uważają za przejaw szaleństwa? Robi się ludziom woda z mózgu w radiu, telewizji i nawet na przystankach. Maci, manipuluje. Gwałci się nas politycznymi szantażami, a wybory się przecie jeszcze nie zaczęły! Ciekawe, kożo one obchodzi, kto pójdzie wybierać? Ja – nie! Może bym i poszedł, gdyby startował nasz stary wojewoda Antosiak.*

– *Dlaczego akurat Antosiak? Panu nie przeszkadza, że on ze starej nomenklatury?*

Wysoki blondyn popatrzył teraz na nas z wyraźną niechęcią. Wzruszył ramionami. Odszedł. Szkoda, bo tak chyba nie we wszystkim miał rację. Szaleństwa dużo dookoła, to prawda, ale na szczęście od czasu do czasu zwycięża i zdrowy rozsądek. Czego najlepszym przykładem było pomyślnie zakończenie konfliktu w Sieradzkim Muzeum. Konflikt zaistniał w momencie, gdy dyrektorka muzeum, Anna Dzierzowska zrezygnowała z członkostwa w „Solidarności”. Dwójka pracowników, która z muzeum odeszła, ciągle jednak pozostając w Komisji Zakładowej „S”, dojrzała do wniosku, że pani dyrektor zdecydowanie się na swoje stanowisko nie nadaje. Przepychanki trwały długo, zaangażowany był nawet wojewoda sieradzki, aż wreszcie wotum nieufności do dyr. Dzierzowskiej odrzucili sami pracownicy muzeum. Więc pani dyrektor ocalała dzięki rozsądkowi, ale to wie, czy nie na razie? Plotka głosi, że senator A. Tomaszewicz, który ciągle nie jest pewny swoich dalszych losów, zaś w muzeum przed senatorowaniem pracował – być może zażyczy sobie powrotu do muzeum, ale na godne senatora stanowisko.

**OSTRY BRUNET W KAWIARNI** naprzeciwko dworca nie objawił się nam od razu. Nawet jego obecności oraz obecności dwóch jego kumpli przy sąsiednim stoliku nie spostrzegłyśmy. Byłyśmy zmęczone, zniechęcone i dość miałyśmy sieradzkiego gwałciela. Duża kawa postawiłaby nas na nogi.

Kelnerka, młoda i ładna dziewczyna, której serdecznie współczuliśmy, gdyż wewnątrz kawiarni było jeszcze bardziej duszno niż na dworze, zagadnięta przez nas w ostatnim odruchu powinności dziennikarskiej o gwałciela powiedziała, że o nim tylko tyle, co z telewizji i że go podobno złapani; a w ogóle to dlaczego panie pytają?

– *Bo mamy taki zawód, niestety.*

Tu kelnerka wykazała czujność.

– *To niby gdzie panie pracują?*

Uspokoiliśmy ją, że nie w policji ani w żadnych takich organach. Po prostu jesteśmy dziennikarkami z Łodzi, na delegacji.

– *Aha – powiedziała z ulgą kelnerka i poszła.*

I tu do akcji wkroczył, a właściwie nie tyle wkroczył, co się nagle przysiadł do naszego stolika brunet. Ostry był. Z tych brunetów, rzucających się kobietom w oczy. Może by się i nam rzucił, gdyby nie liczne tatuaże na męskulanych ramionach. Zapalił marlboro. Wydmuchał na nas elegancko dym. Zniżonym barytonem konspiracyjnie wychrypiął:

– *Jak się rozchodzi o gwałciela, to mógłbym i coś sprzedać. Trochę się wie. A tego, co się wie, gliny wam nie powie. To jak? Zrobimy interes?*

Trochę nas przymurowało.

– *Znaczą: jaki?*

– *Przydałby się jakiś płyn do przepukania. Ale markowy.*

– *Może być wermut? – zapytałyśmy z nadzieją, bo wermut był w tym zakładzie najtańszy i markowy.*

– *Wermut dla przedszkolaków. Na pierwszy rzut – po secie winiaczku dla nas trzech.*

Postawiliśmy. Ale drugiego rzutu nie musiałyśmy. Bo to, co zakupiłyśmy za trzy sety klubowego, wystarczyło. Załapałyśmy trop.

**Bogda Madej  
Ewa Ostrowska**

## Ogłoszenia drobne w „ODGŁOSACH”

„Ogłosy” począwszy od numeru 10 (28 lipca 1991 r.) wprowadzają na swoje łamy kolumnę ogłoszeń drobnych.

Cena za jedno słowo

**3.000 zł**

Stosujemy bonifikaty!

Przy 5 ogłoszeniach – 8%,  
przy 10 ogłoszeniach – 10%,  
przy 15 ogłoszeniach – 12%,  
przy 20 ogłoszeniach – 14%,  
przy 25 ogłoszeniach – 20%,  
przy 30 ogłoszeniach – 22%,  
przy 35 ogłoszeniach – 24%,  
przy 40 ogłoszeniach – 26%,  
przy 45 ogłoszeniach – 28%,  
przy 52 ogłoszeniach – 33% zniżki!

Ogłoszenia przyjmowane są w:

– siedzibie redakcji ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro pok. 1104 tel. 36-52-44

– „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13 tel. 33-18-19

– „Weście-Druk” ul. Piotrkowska 94 I piętro pok. 11 tel. 32-61-79

– Biurze Ogłoszeń al. Kościuszki 41 tel. 33-23-28

**UWAGA:**

– ogłoszenia zawierające ofertę kupna lub sprzedaży przyjmowane są tylko pod warunkiem podania ceny wstępnej zakupu lub sprzedaży.

**Pamiętaj!**

**Ogłoszenie**

**w „Ogłosach”  
żyje cały tydzień!**

## SPRZEDAŻ

● Atrakcyjne MEBLE KUCHENNE „Tukan czarny” – 8.650.000 w zestawach, pojedynczo. Łódź, Mania, Perłowa 16, tel. 78-45-35

## USŁUGI

● WYPOŻYCZALNIA wideoodtworzący 51-42-10.

● Łódzki, zamrażarki, lody, chłodnie NAWPRAWIAM inż. Hajdrych, 32-76-19, Więckowskiego 40.

● NAPRAWA magnetowidów, tel. 57-55-80.

● WIDEOFILMOWANIE 87-05-72.

● WIDEOFILMOWANIE 51-92-29.

● WIDEOFILMOWANIE „Focus” 34-11-57.

## MOTORYZACYJNE

● HOLOWANIE 86-02-12.

## NIERUCHOMOŚCI

● Agencja mieszkaniowa „Interlocum” – POŚREDNICTWO, kupno-sprzedaż mieszkań, nieruchomości, wynajmy, porady prawne, ul. Piotrkowska 94, tel. 32-31-42.

Cd. ze str. 1

mieć. I dlatego to między Damiankiem a Heniusiem zepsuła.

Po tej stodołę i szpitalu już nie popsuła żadnego. Mąż Henryk się starał. Co rok prorok. Chrzcziny wyprawiał huczne, po dwa dni się piło i jadło, wspominało miesiąc. Halina po każdym połogu jakby mniejsza i chudsza, tylko te jej oczyska coraz większe, na pół twarzy, czarne jak smoła. Niemiło w nie spojrzeć. Jakby się zaglądało w jamy bez dna.

W ogóle niemiła. Tyle z ludźmi, co w kościele. Do sklepu przyjdzie, stoi głucha, niema, do nikogo się nie odezwie. Zagadasz do niej, a ta nawet brwią nie poruszy, że słyszała. Patrzcie ją, jaka ważna. Zasnęła Henrykowa, co to ją w lesie każdy kto chciał, to ruchał. Nawet matki się wyparła. Kiedyś krzyknęła w sklepie do Gałęckiej, jak ta do niej zagadała: *Przehandlowała mnie mamusia za sygnet i pieniądze, czego jeszcze mamusia ode mnie chce?*

Gałęckiej aż głowa zalatała: *Haluś, nie mów tak, to jak nóż w serce.*

## Godziny niedobrej nadziei

A ona: *Mnie go mamusia wbiła wtedy, zimą, u siebie pod drzwiami!*

Tomczykowa umarła nagle. Śmierć miała lekką, szybką. Panie świeć nad jej duszą. Najadła się grochówy, poprawiła patelnię smażeńy, poszła ciąć zielonkę dla gęsiaków. Parno, skwar piekielny przed burzą. Tomczykowa, gruba jak beka, nachyliła się, krew walnęła do głowy, żyłka pękła i po Tomczykowej.

Tomczyka w domu nie było. Uwalił się razem z innymi chłopami w sadku pod gruszą cieniastą, piwo kazał Halinie, to Ewie z lodówki schłodzone donosić. Pod tą gruszą do rana przespał. Halinie to nie nowina. Podoiła wieczorem krowy razem z Ewą; zresztą, takie tam dojenie, aby maszynę przystawić do cycków i mleko samo się doi. Gorzej spędzić dziesięć krów z pastwiska. Ale już i Damianek walny chłopak, Heniusz też nie taki mały, nie można powiedzieć, radziła sobie z gospodarstwem. Pierwsza wstawiała, kładła się ostatnia.

Uczciwie mówiąc, jak przed księdzem na spowiedzi, to należy przyznać, że zapieprz miała niekiepski. Tomczykowa nigdy jej nie darowała tego lasu, ani tej ugody, ani tego całego wstydu. Ganiała Halinę czy z brzuchem i po połogu do każdej jednej roboty. Stanie na ganku i drze się: *Halka! ty taka owaka jedna zajebana, gnój od krów wywalać! Halka, ty taka owaka i tak dalek, podłogi szorować!*

Bo też trzeba uczciwie powiedzieć, jak na spowiedzi, że Tomczykowa, Panie świeć na jej duszę, charakter miała wredny, język gorszy od chłopca, a rękę ciężką. Walila w tę Halinę jak w bęben. Aż się rozlegało.

Bo mąż Henryk to bijał po cichu. Wepchnie do stodoły i tam przykłada. Tylko Ewa pod stodołą stoi i krzyczy: *Tatusiu! Tatusiu! Nie bij mojej mamusi!*

Ale dzieci nie bijał. Nawet Ewie nie przyłożył. Dbał o dzieci. Chrzcziny wyprawiał pierwszorzędne. Komunie też. Cukierki im kupował, ciasteczka.

Wciąż tak: gęsiaki gęgaly głodne, Halina krowy podoiła, dzieci poumywała, ale teściowej nie poszła szukać. Rano mąż Henryk spod tej gruszy się zwłókił, mleko już w kankach czekało, zawiózł do mleczarni. Tam sobie poprawił klinem samopoczucie. Wrócił, pyta: *mamusia gdzie? A Halina mówi mu, że pewno jeszcze śpi.*

Itak minęło do obiadu. Po obiedzie ją znaleźli. Bardzo niepięknie już wyglądała.

Pogrzeb wyprawili matce piękny, od trumny trzeba go było siłą odrywać. Stypa w porządku, niczego matce nie pożałował. Jadło się i piło, piło i jadło. A on płakał i płakał, że mu już nic po życiu, bez mamusi znaczy się, powiesi się chyba weźmie.

Bardzo przeżywał. Pił na umór. Na mogiłę pójdzie, płacze, głowę ściera, moglię głaszczce, flaszkę opróżni, opije się z rozpaczy, na mogiłę padnie, śpi.

No i faktycznie, co trochę powtarza, że weźmie i się powiesi. Taka suka to żyje, mówi, a moja mamusia ziemię gryzie.

O, teraz to mu musiała Halina i dzieci sprzed oczu zabrać. Odbiło mu całkiem. Teraz mu się wydawało, że wszystkie, nie tylko Ewa, to same bekarty.

Ale chrzcziny i dla Grażynki, i dla Tomusia wyprawili.

Te chrzcziny Tomusio wie były ostatnie w jego życiu. Bardzo się opił. Jak wychodzili my koło północy, to on ciągle pod stołem leżał.

I wówczas widzieli my go ostatni raz żywego. Rano, po dojeniu, Ewa przybiegła. Wyglądała całkiem jak zawsze. No, może bardziej przybiedzona po takiej biesiadnej nocy, pełnej pijackiej wrzawy. Ale nie plakała ani nic. Mówi: *Mamusia prosi, żeby jej pomóc tatusia ze sznura odciąć.*

*Jezus Maria! dzieciaku, a co ty pleciesz?*

*Ja nie plotę. Powiesił się w stodołę, mówi, i śmieje się nagle od ucha do ucha, przyglupia jedna, niewydarzona, dwadzieścia lat, a ciągle liter nie może zapamiętać, jak do drugiej klasy ją przepuszczono w szkole, tak do tej pory w drugiej klasie siedzi.*

Pobiegli my. A jakże, powiesił się, biedaczysko. Boże, odpuść mu grzesznemu.

Tylko jakos tak dziwnie się powiesił. Przez

najniższą deskę w zasięgu przewłóki sznur, nogi przykurczył i na siedzący? Słyszał to kto, żeby się wieszac na siedzący?

O, cholera. I zamiast od razu po rozum przyjść do głowy, my jakoś tak bez pomysłu, odcięli go, do domu zanieśli, i zaraz go Halina z kobietami umyła, oporządziła, zapaliło się gromnice.

Mówiąc jak na spowiedzi szczerą prawdę, nikt z nas wtedy nie pomyślał, że to ona. Gdzie by! Maleńka ta Halina, chudziutka, na twarzy szczerzyła od roboty, od dzieciów, a on chłop jak byk, gdzie by mu dała radę zatargać a wieszac?

I pewno by nikomu taka myśl do głowy nie wpadła, gdyby już na południe Halina nie zaczęła ze swego podwórza na głos śpiewać. Jezusie Nazareński! Tam nieboszczyk, a tu śpiewanie? Jak żyjemy, nie słyszeliśmy ani razu, żeby kiedykolwiek śpiewała. Nawet swoim dzieciom, kolebiąc w wózku, nie śpiewała.

No dobra, może jej odbiło na rozumie od nieszczęścia albo co.

Ale pod wieczór zachodzi, prosi, żeby świniaka jej na stypę zarznąć.



Stypa, świniak, wszystko w porządku. Tylko ona sama, już widać, nie. W najlepszą sukienkę jedwabną w kwiaty się ubrała. Włosy rozpuszczyła, zamiast jej czarną chustką przykryć. Jezusie Nazareński, usta sobie na czerwono pomalowała, suka jedna. A te jej oczy, no nie! to istny w nich grzech się palił. Radość biła jakby na wesele, nie na pogrzeb.

Patrzcie, ludzie, na Ewę. Idzie ulicą, idzie i podskakuje!

Ewa, Ewa, chodź no tu. Powiedz, jak to z tatusiem było?

Śmieje się przyglupio. A jak miało być? Powiesił się i tyła.

Aha, mówisz: powiesił się. A skąd sznur wziął?

A mamusia dała.

No, to my już wiedzieli wszystko. Zadzwońlimy na milicję, co i jak.

Tak, powiedziała Halina na cały głos krwawymi od szminki ustami, ciągle w tej jedwabnej sukience w kwiaty, z włosami rozpuszczonymi, a tak, datam mu sznur. *Chciał się wieszac, niech się wieszac, sukinsyn, raz a dobrze.*

To ją zabierają.

A Ewa wystraszyła się. Woła: *nie zabierajcie mojej mamusi, to nie tak było!*

A jak? pytają milicjanci.

*Mamusia nie wiedziała, że tatus się wieszac. To ja obudziłam mamusię i mówię: mamusiu, tatus sznura szuka, chce się wieszac. Chodź, mamusiu, powiesimy tatusia.*

No to szybko Halinę wsadzili w taksówkę, i Ewę też. Stara Gałęcka przysła, zabrała resztę dzieci do siebie. Ale nie na długo. Już na trzeci dzień przyjechali i zabrali wszystkie do sierotkowa.

Halina dostała tylko rok, i tylko w zawieszaniu, taka to ich sprawiedliwość. Ale boska sprawiedliwość ją dopadła.

Jak Halinę wypuścili, to tak: dzieci już nie miała, bo praw ją do dzieci pozbawiono. Ewa była w takim zakładzie dla przyglupich. Gałęcka Halinę do domu nie wpuściła, i słusznie. To Halina pokreśliła się po wsi i ślad po niej zaginał.

Aż do następnej wiosny. Gajowy ją odnalazł w lesie. Bardzo była zmieniona, długo wisiała.

Nie wiadomo, gdzie ją pochowali. Gdzieś tam pod płotem pewno na koszt państwa.

Ewa Ostrowska

## Gabinetowe zabawy dorosłych

Jako chłopiec, podczas wakacji, byłem świadkiem zabawy moich wiejskich rówieśników w okolicy pełnej stawów i podmokłych łąk. Chwytały oni do kancerków żaby, a następnie nadmuchiwały je wtykając w odbyty takiej złapanej nieszczęśnicy zawczasu przygotowane słomki. Następnie napełnione powietrzem jak balon zwierzęta wrzucano do wody i dopiero wtedy zaczynała się właściwa zabawa. Szły w ruch kamienie i patyki, kawałki skruszonych cegieł, hacele i mutry. Żaby, choć niby wolne, nie mogły skryć się pod powierzchnię i pływały niezdarnie wystawione na cel. Niekiedy te okrutne igraszki przerywali letnicy z miasta, nazywając chłopców zwrotnialcami, ale następnego dnia wszystko powtarzało się od początku.

Z okrutnych zabaw się wyrasta, ale pewne nawyki pozostają na zawsze. Uprzytomniłem to sobie obserwując gabinetowe poczynania dorosłych w minionym sezonie politycznym i manewry niektórych osobistości przed czekającą nas kampanią wyborczą. Kiedy padało hasło: *Lej czerwonego, a pezetpeerowski beton zwierał tonięjące szeregi, byłem sercem z tymi, którzy pragnęli jak najszybciej dokonać zburzenia Bastylii. Twierdza padła, nie tyle dzięki atakowi z zewnątrz, co przez poniechanie obrony. Ale już wkrótce przestały mi się podobać puszczane w telewizji do znudzenia kadry z żalosego widowiska, jakim było przejście w ciągu jednej nocy od komunizmu do socjaldemokracji, z sakramentalnym zaklęciem Mieczysława F. Rakowskiego: – Sztandar wyprowadzić! Poniżanie przeciwnika, który dobrowolnie oddaje pole, ma w sobie coś azja-*

## Nadmuchiwanie żab

tyckiego i nie licuje z wartościami europejskiej kultury.

Gruba kreska, zaproponowana przez premiera Tadeusza Mazowieckiego, była szansą nie tylko dla tych generacji, które dały się uwieść socjalistycznym hasłom równości i sprawiedliwości i w dobrej wierze podtrzymywały na swoich barkach totalitarny system. Była to szansa także dla pokolenia, któremu socjalizm kojarzył się wyłącznie ze stanem wojennym, pałkami ZOMO i gazem łzawiącym. Stary, zmęczony, ale rozumny człowiek chciał ocalić to pokolenie przed uczuciem jałowej nienawiści, wyniszczającej moralnie i nie prowadzącej do niczego.

Tymczasem w warunkach wolności trwała już chwytanie i nadmuchiwanie żab. Wrogiem, na którego wskazywało się palcem, wciąż jeszcze był czerwony, wczorajszy aparatczyk, poroniony agitator, nieudolny działacz gospodarczy, trzymający się ciągle kurczowo posady. Ale ofiarą bezbrodnych harców padali nie tylko czerwoni: przypominam sobie jak jedna z łódzkich gazet zaczęła nadmuchiwać solidarnościowego posła Jerzego Dłużniewskiego, autentycznego robotniczego lidera, który złożył niejedną dowód odwagi w walce z komunistycznym reżimem. Dłużniewski, mieszkający w podłej norze przy ul. Północnej, wystąpił do władz miejskich o przydział mieszkania. Wczorajsi towarzysze broni natychmiast skorzystali z okazji, aby go obrzydzić i skomprominować, gdyż Dłużniewski twardo obstawał wtedy przy zachowaniu jedności OKP, na którego czele stał prof. Geremek. Natychmiast znaleźli się dziennikarze, z solidarnościowym oczywiście rodowodem, którzy wzięli sobie pana posła na cel nie tylko piętnując jego rzekome nadużywanie władzy, ale przeinaczając i wydrwiniwając ważne społecznie inicjatywy Dłużniewskiego. Ataki te ustały dopiero wtedy, gdy lider robotniczy wyrzekł się Geremka i przystał do Porozumienia Centrum. Nie wiem, czy przy okazji poprawił sobie wreszcie warunki mieszkaniowe, ale mu tego z całego serca życzę, gdyż nie miał lekko.

Wojna na górze, którą wypowiedział Lech Wałęsa, kiedy to nie chciał zostać prezydentem, otworzyła wszystkie tamy i zdruzgotała grubą kreskę czyli pewną filozofię sprawowania władzy: przeciwstawianie się najniższym instynktom tłuszczy, zachowanie społecznego pokoju, przezwyciężenie przeszłości, pracę dla przyszłości, gdyż tylko ona dawała nam szansę zbliżenia się choć trochę do zachodnioeuropejskiego dobrobytu. Porażka Mazowieckiego w wyborach była jednocześnie przegraną całej polskiej inteligencji. A próbkę tego, czym jest tłuszcza, kiedy przejmują swoje sprawy we własne ręce mieliśmy niedawno w Mławie, gdzie doszło do pogromu Cyganów.

Mówię o porażce całej inteligencji, chociaż w najbliższym otoczeniu zwyciężyli są ludzie, którym nie można odmówić ani starannego wykształcenia, ani przemyślnego umysłu. Są to jednak na ogół twardzi pragmatycy i wcale im nie zależy na tym, aby zaliczać się do arystokracji ducha, bo to oznacza przecież wyrzeczenie się przemocy, zdolność do poświęceń się za innych, wyczerlenie na krzywdę. Kanceliści pana prezydenta uważają tradycyjne wartości inteligencji polskiej za dawno spłowiałe i do niczego nieprzydatne. Marzy im się zbudowanie silnego ośrodka władzy, choćby pozakonstytucyjnej. Niektórzy ludzie z obozu belwederskiego

pozazdrościli nawet monopolu na mądrość komunistom o bolszewickiej proweniencji: też wiedzą lepiej, czego chce lud i co go uszczęśliwi. Nie wiedzą tylko, jak molierowski bohater, że mówią prozą.

Najbardziej aktywni działacze Porozumienia Centrum z przyzwyczajenia powtarzają frazesy o nomenklaturowych spółkach, o groźbie powrotu do władzy znieznawionej komuny, tak naprawdę jednak zabrali się do nadmuchiwania kolejnej żaby. Celem ich ataku stał się zarówno pierwszy solidarnościowy premier, jak i jego „różowe” otoczenie. Co i rusz z trybuny sejmowej albo z jakiegoś zlotu samowolnych komitetów obywatelskich, albo nawet z jakiejś doniosłej operatywy w Belwederze dowiadujemy się jak groźna jest mazowieccyzna, jakie to ciężkie grzechy obciążają ministrów poprzedniego rządu Rzeczypospolitej. Jest to język dziwnie znajomy, język Wyszyńskiego. Oczywiście Andrieja, przybocznego prokuratora Józefa Stalina, nie zaś kardynała Stefana Wyszyńskiego, chociaż działacze Porozumienia Centrum chętnie powołują się na chrześcijańskie wartości. Porozumienie Centrum już tak bardzo przesunęło się w prawo, że i z tej strony musiało znaleźć sobie żabę do nadmuchiwania. Tą żabą z nadania stało się, najbliższe zresztą ideologicznie PC, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe uznane przez braci Kaczyńskich za ugrupowanie skrajne. Zapewne panowie Kaczyński wiedzą lepiej ode mnie, jakie są prawdziwe zamiary prof. Wiesława Chrzczanowskiego, który Zjednoczenie firmuje, choć słuchając w telewizji redaktora Józefa Orła (PC) i Antoniego Macierewicza (ZChN) nie wyczuwam kakofonii, zdaje mi się zawsze, że dmą w

jedną trąbę i na tę samą nutę. Dlatego też nie dziwi mnie wcale przypieczętowany w Łodzi sojusz pomiędzy ZChN a KPN, które Porozumienie Centrum uważa także za partię skrajną, a nawet rewolucyjną. Jak widać pożnienie ognia z wodą jest możliwe, choć rezultaty tego megalomani widoczne są choćby w skuteczności działań rady miejskiej, która coraz częściej zajmuje się sama sobą. Obie te partie zapatrzone są w Belweder, chyba zresztą nie po to, aby wprowadzić tam swego człowieka na najważniejszy stołek, który zapewne nie tak szybko się opróżni. Ale korepetycje nikomu jeszcze nie zaszkodziły. Najświeższym tego przykładem jest niewinna z pozoru notatka pomieszczona w „Dzienniku Łódzkim”. Od niedawna współwłaścicielem tej poczytnej gazety stał się zarząd miejski, nie musi więc specjalnie dziwić, że obiektem jej ataku stał się właśnie radny, Jacek Cybusz. Zarzuca mu się nie mniej niż więcej tylko wyludzenie zastępczego mieszkania na podstawie naciągniętych danych. Jacek Cybusz ma w radzie opinię „różowego”, nie ukrywa swoich sympatii dla Unii Demokratycznej, nie przepada też za posłem Stefanem Niesiołowskim z ZChN, czemu dał wyraz w wywiadzie dla „Odgłosów”, doskonale się więc nadaje do nadmuchiwania. Za „słomkę” posłużyła „afera mieszkaniowa”, tak skuteczna wobec posła Jerzego Dłużniewskiego. Nie chcę bynajmniej sugerować, że atak został wykonany tymi samymi rękami, zastanawiająca jednak jest metoda, której nie pochwalam, bo za dużo tu zbiegów okoliczności.

Metodą nadmuchiwania żaby posługują się nie tylko ugrupowania same określające się jako prawicowe. Również Jerzy Urban na łamach swego „Nie” dokłada jak może koniom z niedawnego, wspólnego zaprzęgu. Tygodnik ten upodobał sobie szczególnie posła Józefa Oleksego, Tadeusza Fiszbacha i prof. Mariana Orzechowskiego, ośmieszając ich na każdym kroku niewybrednymi żartami.

Po Europie nie krąży już widmo komunizmu. Pozaostali z niego tylko zewłok nadmuchiwaną żaby, która wielokrotnie przebita celnymi rzutami kamieniem zatonie wreszcie w mule, gdzie ulegnie ostatecznemu rozkładowi.

Ale kampania wyborcza, rozpoczęta tak niefortunnie przez prezydenta Lecha Wałęsę pod kościołem św. Brygidy, dopiero zaczyna się rozkręcać. Będzie to sezon bezlitosnego polowania na żaby. Próbkę tego, co się może dziać, mieliśmy niedawno podczas nadmuchiwania kontraktowego Sejmu. Również Adam Michnik i Bronisław Geremek znajdują się od pewnego czasu pod nieustannym ostrzałem, choć z nimi sprawa nie będzie taka prosta. Nie wystarczy wytknąć ich palcem i nazwać żabami, trzeba ich jeszcze nadmuchać. A podczas takich towów możliwe są różne zabawne niespodzianki. Przekonał się o tym dobitnie poseł Stefan Niesiołowski, który posłużył za tło Leszkowi Millerowi z postkomunistycznej socjaldemokracji, chociaż scenariusz przewidywał odwrotne role. Cóż, widocznie Pan Bóg czuwa i wie, co robi.

Nie wiem dlaczego, ale widocznie z dzieciństwa, pozostał mi uraz i jakoś nie pochwalam zabaw w nadmuchiwanie żab. Nawet w wydaniu gabinetowym. Żaby te nie zmieniają się w piękne królewice, będziemy musieli je zjeść.

Dlatego lepiej z wczasu zrezygnować z nich w wyborczym menu.

Konrad Frejdllich

## Polak goły, ale wesół

Slynnych bezkrwawych operacji brzusznych, to znaczy otwarcia jamy otrzewnej tylko przy pomocy dłoni, usunięcia bez żadnych narzędzi chirurgicznych np. pęcherzyka żółciowego i niepozostawienia na skórze żadnego śladu ani blizny, nie zdolałbym już zobaczyć, chociaż do Baguio City było niedaleko z Manili. Przeżyliśmy inną operację, na specjalnie wstyżonych wewnętrznych kieszeniach spodni, w których przechowywaliśmy dolary, nie pozostawiając ich nigdy w hotelu.

Budzę się o godzinie 21, po trzech godzinach kamiennego snu, ze świeżym umysłem, ale z uczuciem niepokoju. Po raz pierwszy w życiu całkowicie nie pamiętam powrotnej drogi. Budzi się jednocześnie kolega. Patrzę przez chwilę jak na pełnych obrotach, tuż pod sufitem małego pokoju w pensjonacie Malate, pracuje wentylator. – *Przeliczmy pieniądze* – rzucam nagle kole-dze. Wewnętrzna kieszeń dzinsów w połowie górnej krawędzi zsyta jest białą nitką. Jak to możliwe? Kieszeń – wypełniona – tak jak dotychczas. Uspokajam się, ale na krótko. Zamiast dolarów, znajduję banknoty po 10 peso. Ta przedziwna wymiana, która odbyła się bez mojej wiedzy, według prostego rachunku, przyniosła mi stratę 2700-krotną; 27 peso wymiennych jest za 1 dolar.

Dolar na Filipinach stoi wysoko. Nawet dla nas kraj ten był tani, ale tylko przez jeden dzień. W dzienniku tytuły: „Filipiny nie pójdą polską drogą”, „Czy wprowadzić zakaz aborcji”, „Przeludnienie stolicy”. Łatwo potknąć się wieczorem o śpiących na chodnikach w samym centrum Manili bezdomnych lub chorych. Dane statystyczne (miejscowe) podają, że 30 do 35% manilczyków mieszka w slumsach lub pod gołym niebem. Stolica przyciąga poszukujących zarobku. Trudno ominąć żebrzących, dorosłych i dzieci. Dobrze to podłóże dla talentów przestępczych.

Z kieszeni kolegi – sytuacja podobna. Czarna prognoza: Nie wystarczy na opłacenie dwóch ostatnich nocy w pensjonacie Malate, zamieszkanym przez uboższych turystów z całego świata, gdzie nocleg kosztuje niecałe 4 dolary.

O 22. docieramy do Tourist Security Division. Komisarz Boy Magpantay, młody, krępy, z twarzą bez widocznego zarostu, z bystrym, inteligentnym, spokojnym spojrzeniem, zadaje celne, krótkie pytania i notuje. Wtem zrywa się wraz z dwoma kolegami, wkładają pistolety za pas, nie do kabury, ubrani po cywilnemu. Podwożą nas do hotelu. Nie jesteśmy w stanie im powiedzieć, gdzie byliśmy przed godziną 18. Mogę tylko określić, że jechałem taksówką, około 13. trwała około pół godziny. Przejedźliśmy przez dzielnicę Paranaque lub w jej pobliżu. Potem – przesiadka na dwie riksze rowerowe. Zmieniłmy wówczas z kolegą naszych sympatycznych przewodników, ja wsiałem z Cyndies Valezą, kolega – z jej bratem Geraldem Valezą. Obaj wybierają się do Polski.

Ciekawi jesteśmy jak wygląda dom filipiński.

Za taksówkę płacę, zgodnie z życzeniem Geralda, część niewielkiej opłaty, za riksę, Sindi (Cyndies) nie pozwala mi zapłacić. Wchodzimy na niski parter prywatnego domu, mijamy wewnętrzne schody, siadamy w miękkich fotelach za niskim stołem. Stojący w rogu wentylator przyjemnie osusza pot na twarzy. Czysto i schludnie. Gospodyni elegancko ubrana, nazywa się Myra.

– *Lewaleenza* – Gerald wielokrotnie powtarza fonetycznie imię i nazwisko naszego prezydenta. Gerald wznosi toast szklanką piwa San Miguel. Gospodyni podaje jeszcze Coca Colę i jakąś kielbasę o średnicy cienkiej parówki i w kolorze popielatym z pokrojoną cebulką. Mówię do kolegi w przeblasku żartobliwej ostrożności: – *Robimy dokładnie to, czego robić nie wolno.*

– *Ale jest przyjemnie* – odpowiada, z pełnym spokojem w głosie.

Wypijam dwie szklanki piwa, zagryzam kawalkiem „parówki”. Rzeczywiście – atmosfera przyjaźni i gościnności, nie ustaje konwersacja z lejtmotyem „Pomożemy wam tu, a wy nam w

stępne odurzenie nas narkotykiem, czy lekiem, który zanim spowodował sen, rozproszył uwagę i możliwość zachowania ostrożności w obcym domu. Wsiadłszy, niedługo po masażu, czy prawie natychmiast, do jeepa, który sprostował Gerald, lecz sam nie pojechał. Podwieziano nas do mikrobusu, którym udaliśmy się do miejsca, skąd pieszo było już blisko do pensjonatu. Jeep i mikrobus był zapłacony, a trasa ustalona przez Geralda.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że podobne poczęstunki weszły w przestępczą modę od około trzech lat.

Boy Magpantay pokazuje klaser ze zdjęciami przestępców. Równocześnie z kolegą i bez cienia wątpliwości rozpoznajemy Cyndies z profilu oraz Myrę na kolorowym zdjęciu w pokoju ze stojącym wentylatorem i z parą białych siedzących na fotelach. Na czarno-białej fotografii odnajdujemy podobieństwo mężczyzny bez okularów do Geralda. Komisarz obiecuje, że skontaktuje się z nami, tak szybko jak to tyl-

## Operacja po filipińsku



Polse”. Chcą przyjechać na kilka dni. Gerald już był w Warszawie, ale tylko w sali tranzytowej Okęcia, w drodze do RFN. Prowadzi drobny biznes w zakresie jubilerskim. Nosi złoty sygnet i ciemne okulary. Mówi płynnie po angielsku. Jego siostra – trochę gorzej. Umawiamy się wszyscy razem na jutro przed Malate.

Tymczasem pada propozycja masażu relaksacyjnego. To również naturalne. Idę za Myrą na piętro. Wracam, potem kolega. Potem – nic nie pamiętam.

Boy Magpantay notuje. – *Czułem się* – zeznaje kolega – *jak w hipnozie. Sam masaż jak kiedyś na plaży na Bali, jak wszędzie w Azji Południowej popularny, i tutaj wykonany był w sposób profesjonalny. Czymś nowym okazało się pod-*

ko będzie możliwe. Radzi powiadomić konsulat.

Konsul Honorowy – stanowisko ustanowione przez MSZ około 3 lat temu – jest Filipińczykiem. Urzęduje w dużej sali jednego z gmachów Philippine Airlines, przy jednym z biur, nad którym wisi złota tabliczka: Consulate of the Polish People's Republic. W porę zdołałem przekonać kolegę, by w żadnym razie nie prosić o pożyczkę. Konsul pyta jakiej oczekujemy pomocy. Odpowiadam, że prosimy o kontakt z policją turystyczną w celu odzyskania przez nas pieniędzy. Przyjmuje to z widoczną ulgą. Okazuje życzliwość i zainteresowanie. Zauważa jednak, że łatwiej znaleźć złodziei aniżeli odzyskać gotówkę. Przywołuje radcę prawnego. Po zamianie pensjonatu na Youth Hostel, za który płacić będziemy 1,8 dolara za dobę, wygospodarujemy fundusze na dwie jednodniowe podróże – do Batangas nad Zatoką Manilską Morza Południowocchińskiego i do wulkanu Taal za Tagaytay. Na dzień jego krateru, nad brzegiem jeziora, z którego wyłania się mniejszy wulkan z niewidocznym wewnątrz drugim jeziorem, bez obawy wypijemy filiżankę kawy i zagryziemy ciastkiem ryżowo-kokosowym, którymi poczęstują nas tubylcy.

Tymczasem mijają kolejne dni. W recepcji pensjonatu Malate pozostawiliśmy adres dla konsula i policji, lecz stamtąd nadal żadnego sygnału. Ostatniego dnia przed odlotem, bez zaproszenia wyruszamy do Boy'a. Będzie o 15. Przychodzimy ponownie, czekamy, przyjmują nas uprzejmie. Komisarz pojawia się po czterdziestu minutach. Mówi głosem cichym, lecz oczy jak poprzednio, bystre, przesywające, żadne zbyteczne słowo.

## Broń zaczyna psuć się po 20.000 strzałów

Gdy wyjeżdżałem do USA pewien łódzki handlarz bronią zaproponował mi biznes:

– *Niech pan tam kupi na bazarach albo u pośrednika parę skrzynek najtańszych pistoletów. Ja wykładam dolce i zatłwiam formalności, a pan to dostarcza – zarobek po połowie. Tam używany pistolet gazowy kupi pan za parę dolarów, tu Colta sprzedamy lekko za pół miliona. U nas to wciąż duża atrakcja, a tam wala się takie żelastwo na każdym śmietniku...*

Facet tak długo mnie namawiał, że choć nie mam głowy do interesów, obiecałem rozejrzeć się. Pistoletów, rewolwerów, karabinów maszynowych oglądałem bardzo wiele, ale... na ekranie telewizora. Filmu bez użycia broni przez bohaterów trzeba szukać ze świecą. Z taką samą świecą należy wyruszyć na poszukiwanie posiadacza broni. Według jakiejś statystyki co trzeci mieszkaniec Kalifornii posiada pistolet albo rewolwer. Ja przepytalem ze setkę znajomych i ani jeden nie przyznał się do posiadania czegokolwiek co strzela. Chyba że był myśliwym. Wtedy demonstrował różne strzelby. Nawet emerytowany pracownik CIA (to nie jest tajemnica, w prasie ukazują się regularnie ogłoszenia „wstęp do CIA, dobrze płacimy, ciekawa praca”) zarzekał się, iż odchodząc z pracy zdał służbowy pistolet i od tego czasu nie miał innego w ręce.

Widocznie mam wyjątkowo pacyfistycznie nastroszonych znajomych. Są jednak i tacy, którzy lubią sobie postrzelać jak na filmie. Nie tylko w nocy, również w dzień słyszy się pojedyncze strzały i serie z pistoletów maszynowych.

Na bazarach nie zauważyłem nawet jednego pistoletu. Za to w 60-tysięcznym mieście Redwood City, położonym ze 30 mil od San Francisco doliczyłem się aż 3 sklepów z bronią. Nie licząc stoisk w sklepach sportowych. Pistolety za parę dolarów, jak sobie wymarzył mój niedoszły współnik, można nabyć w sklepie z zabawkami. Plastikowe, strzelające strumieniem wody. O cenach prawdziwej broni rozmawiałem z właścicielem sklepu przy Jefferson Ave mr. Victorem M. Holbrookiem. Mógł mi poświęcić dowolną ilość czasu, gdyż byłam jedynym klientem.

Sklep mr. Holbrooka nie jest duży, ot, zbliżony gabarytami do „Jedności Łowieckiej” przy ul. Piotrkowskiej (jeśli jeszcze nie przebranożowała się). Ale jak zagospodarowany jest ten amery-

kański! Na ścianach i w gablotach doliczyłem się około 200 sztuk broni – od karabinów maszynowych po pistolety do kieszonek od zegarka. Jest też gablota bogato wyposażona w sprzęt optyczny i osobne stoisko z białą bronią. A także ogromna ilość części zamiennych. Zdaniem mr. Holbrooka są często potrzebne, przecież broń zazwyczaj zaczyna psuć się już po około 20 tysiącach wystrzałów! Oferuje się też kamizelki kuloodporne. Granatowa, do wizytowego garnituru – 230 dol.

Gdy zapytałem o coraz popularniejszą u nas

## Z grubej rury

broń laserową, oczekując podania pałki rażącej prądem, sprzedawca podał mi okazały, lśniący jak posrebrzony, pistolet. Za marne 897 dol. Ale jaka maszyna!

– *To jest broń dla takich, którzy nie lubią marnować kul i nie mogą sobie pozwolić na niecelny strzał. Kiedyś używał takiego James Bond...*

– *Gdy pokazał mi w jaki sposób ścisnąć kolbę, aby wywołać laserowy promień, reszka była dziecinnie łatwa. Wystarczyło patrzeć w lunetę i umieścić świetlny punktik w celu. Byłe przy pociskaniu spustu nie poruszyć dłonią, kula spełni zadanie. W gablocie leży kilkanaście takich niezawodnych narzędzi do zabijania wyposażonych w lasery. Jest i pseudolaser – za 19 dol., latarka przystosowana do umocowania pod lufą pistoletu. Daje podwójną korzyść – nie tylko oświetla cel, ale także osłepia.*

Najtańszym rewolwerem oferowanym w tym sklepie jest typowy kowbojski Colt – używany, za 99 dol. Najdroższy – pistolet Winchester Magnum, kal. 11,5, ośmiostrzałowy, pięknie polskuje wypolerowanym metalem.

– *Bardzo precyzyjny, trafia dokładnie w punkt. Według cennika kosztuje 1.600 dol., oddam za 1.200, bo leży u mnie już 5 lat. Dokożę drewniane etui i kaburę* – informuje mr. Holbrook, choć już wie, że nie ma o mnie liczyć.

Notuję inne ceny: maleńkie pistolety do noszenia za skarpetką – 99 dol., mała Beretta –

209, okazały Walter P38K – 900. W dawnej kraninie kowbojów jest oczywiście ogromny wybór bębnowców – od małych po olbrzymie, niklowane, posrebrzane, oksydowane, z wypolerowanego metalu – od 100 do 400 dol. Są tańsze od pistoletów. Colt z rękojeścią z inkrustowanej macy perłowej – 850.

Wilkinson wygląda jak pistolet maszynowy, kal. 9, długi magazynek mieści 32 pociski. Jest tani – zaledwie 100 dol.

– *Nie mamy prawa sprzedawać tzw. automatycznych pistoletów i karabinów maszynowych – objaśnia właściciel. – Jedyne półautomatyczne, czyli takie, które za jednym pociśnięciem spustu wystrzelują jeden pocisk. Tylko w kilku sta-*

nach oficjalnie są dozwolone pełne automaty. Tzn. można tam wystąpić o licencję. Ale sprawa wygląda tak jak w ZSRR – niby możesz kupić, ale nigdy ci nie sprzedadzą...

Taki półautomat można bez trudu przerobić? – zgaduję.

– *Można, lecz to już nie moja sprawa...*

Ściana zawieszona jest przeróżnymi takimi półautomatami. M.in. identycznymi, jak te, których używa Rambo – z grubą, chłodzoną lufą. Są tu wzory z połowy świata – nawet chińskie i izraelskie, polskiej broni jeszcze w sklepie nie było. Ceny prawie takie same jak za pistolety. Niemal każda broń ma odpowiednik w pneumatycznej – nawet kolubryny przypominające RKM. Ale ani jednej sztuki broni gazowej. Podobno jest zbyt niebezpieczna dla ludzi. Oferuje się jedynie gaz obezwładniający w aerozolu jako „broń przeciw psom”. Mr. Holbrook powiada, że lepiej ten gaz działa przeciw ludziom niż psom, ale gdy zastanawiam się czy wydać 6 dol., pyta gdzie mieszkam.

– *W Palo Alto? Tam od lat nie napadnięto na nikogo, odradzam kupno* – oznajmił ku memu zdziwieniu. Nie jestem przyzwyczajony do takich sprzedawców.

– *A pistolet kulowy sprzeda mi pan?* – pytam.

– *Oczywiście, tylko nabywca gazowego, jako szczególnie niebezpiecznego dla zdrowia, musi udowodnić, że jest szczególnie narażony na na-*

Wysłał właśnie najlepszą brygadę. Spodziewa się zatrzymać Myrę. Odnalazł adres jej siostry. Przypominamy, że odlatujemy o szóste, na lotnisku musimy być o czwartej (w nocy!). Boy zachowuje spokój. Zadzwoń do nas o 22. O 22. zasypana na łóżku piętrowym dwudziestokilkosobowej sypialni Youth Hostel'u. I bardzo słuszenie. O 23. budzi recepcjonista: – *Telefon!* Wykakuje ze spiwora. Boy przysyła po nas samochód. O 24. jesteśmy w znanym nam miejscu, w gmachu Departamentu Turystyki. (Notabene, w tym samym czasie, od 1 do 7 maja 1991 trwają obchody Tygodnia Turystyki). Boy bardziej bładny, zmęczony, napięty, ale na zewnątrz tak samo opanowany, mówi, że mają Myrę. Nastąpi konfrontacja. Po kilku minutach wprowadzają nas do tej samej co poprzednio sali. Po naszej lewej stronie cztery dziewczyny i jeden młodzieniec. Na przeciw przy biurkach siedzą policjanci, jak zwykle w cywilu. Boy – *vis à vis* tamtej piątki, rzuca swobodne ciche pytania nie na temat, to tamtym, to nam. Między innymi: czy Waleśa jest dobry i czy Jaruzelski jest dobry, a także pytanie – jak spędziliśmy czas. Wreszcie pyta czy któraś z obecnych osób jest nam znana.

– *Zadna.* – odpowiadam.

Pokazuje jeszcze raz zdjęcie. – *Czy to jest Myra?*

Potwierdzam. Niezauważenie wprowadzają szóstą osobę. Kobieta znacznie niższą i starszą od Myry. Zaledwie ślad podobieństwa w osadzeniu oczu.

– *Czy to jest Myra?*

– *Nie. To nie ona.*

Kobieta rzuca mi żarliwie: – *Thank you, sir.*

Boy, po wyprowadzeniu jej, mówi:

– *To jest Myra.*

– *To nie jest Myra.*

– *To jest Myra.*

– *Czy znane są dane personalne pozostałych dwóch osób?* – pytam. – *Tylko Geralda.*

Podaje mi inne jego zdjęcie. Szybko notuję dopisek: Bantista Renato J. Fernandez, „Dozo”, TSD/7/7/89. Bantisty niestety nie zatrzymano.

Boy zwraca się, że pracuje w nadgodzinach. Odwiezie nas do hostelu. Mamy 1,5 godziny snu. – *Dziękuję* – mówię – *jesteśmy wam grateful.* Przyśle po nas samochód, który odwiezie nas na lotnisko.

Punktualnie, po upływie 1,5 godziny, przyjeżdża sam Boy Magpantay. – *Nie martwie się* – mówi prowadząc jeepa – *prześliśmy pieniądze.* Poczucie to czy prawda? Aktywność policji pozorowana czy skuteczna? Wdzięczność nasza jest autentyczna. Sceptycyzm coraz bardziej uzasadniony. Na szczęście przechowaliśmy na dzień zamkniętego na kłódkę plecaka juany na podróż powrotną przez Szanghaj i Pekin.

W ambasadzie polskiej w Pekinie dowiadujemy się, że właśnie interweniowano w sprawie kradzieży kieszonek dokonanej u polskiego turysty i o tym, że kilka dni wcześniej dwaj polscy przestępcy dokonali zuchwałego rozboju na chińskim cinkciarzu.

Ludwik Gebel

paść, np. jako listonosz. Kulowy mogę sprzedać nawet rezydentowi, tzn. osobie innej narodowości, legalnie przebywającej w USA. Dopiero ostatnio obarczone nas obowiązkiem sprawdzenia czy nabywca nie był karany. Ale to czcza formalność. Za 30 dol. łatwo kupisz kradzione prawo jazdy i już masz co pokazać w sklepie.

Gdy pytam właściciela czy już użył któregoś z dwu pistoletów, w które jest uzbrojony, zaprzecza. Nosi je, aby ktoś nie uległ pokusie. Uważa, iż noszenie broni na wierzchu jest bardzo skutecznym sposobem na przestępców – pomyśli taki po co mam ryzykować kulę? Wybierze sobie inną ofiarę.

– *Tylko raz w ciągu 10 lat prowadzenia tego sklepu z mojego pistoletu kogoś zastrzelono. Handlarz narkotyków – swoją konkurentkę. Opowieści, jaka broń jest groźna można więc włożyć między bajki. Spośród 11 tys. osób rocznie zabitych z broni palnej – 1-3 tys. to zastrzelani przez policję, 2 tys. samobójcy, a dopiero reszta to celowo uśmierceni. Ale rocznie ginie też 55 tys. ludzi w wypadkach samochodowych, a 50 tys. osób tonie w basenach. I czy ktoś występuje o zakaz jazdy autami i kąpiele w basenach?* – Mój rozmówca ma przygotowane argumenty, może przekonywać nimi do nabywania broni? A może używa ich broniąc się przed usiłowaniami wprowadzenia ograniczeń handlu bronią? Bo faktem jest, że w ciągu ostatnich lat znacznie wzrosła w Kalifornii przestępczość. Jej przyczynę wywodzi się z dostępności broni.

– *Gdy szaleni z chińskiego szybkostrzelnego pistoletu maszynowego AKS zastrzelili w kalifornijskiej miejscowości Stokton 5 uczniów, a 29 ranił, po czym sam się zastrzelił, wzrosło zapotrzebowanie na automatyczną broń z wyposażenia US Army* – tłumaczył mi ów znajomy emerytowany pracownik CIA. Gdy przypomniałem mu, że przecież takiej broni nie wolno sprzedawać w sklepach, przytaknął. – *Ale są bazy i meliny. Tam kupisz nawet raketę z wyposażenia US Army i nikt nie dojdzie jak wyparowała z magazynów. U nas wszystko można kupić – oznajmił z niejaką dumą. W tym przypadku nie miałem powodów do kompleksu niższości:*

– *U nas też podobno na każdym bazarze można dostać za całkiem przystępną cenę Kalasznikowa, a może nawet czerwonooarmiejscy zrealizowałyby zamówienie na raketę samonaprowadzającą... Może nieco przesadziłem, ale chyba nie za bardzo?*

Waldemar Uchman

Rozmowa ze Sławomirem Orskim, autorem książki „Pink Floyd – psychodeliczny fenomen”

# „Za bardzo się nienawidzą...”

– Dziękuję za rozmowę i życzę zrealizowania tych planów.

Rozmawiał:  
Andrzej Woszczyk

**J**ak długo pisałeś tę książkę?  
– Rok.  
– Z jakich materiałów pomocniczych korzystałeś?  
– Podstawą była książka „A Visual Documentary” opracowana przez Milesa, uznana za najbardziej wiarygodną biografię zespołu Pink Floyd. Niestety, nie wszystko jest tam opracowane jak należy. Pierwsze lata potraktowano bardzo drobiazgowo, natomiast koniec lat 70. i początek lat 80. mniej szczegółowo. Oprócz tego korzystałem z wielu artykułów i wywiadów z członkami zespołu, zamieszczonych w różnych pismach muzycznych.  
– Czy próbowałeś nawiązać osobisty kontakt z którymś z członków grupy Pink Floyd?  
– Nie, nie próbowałem.  
– Czy jesteś sam z książki zadowolony?  
– Zdecydowanie tak.  
– Twoja płyta numer 1 Pink Floyd...  
– Nie będę oryginalny, bo zdecydowanie płytą numer 1 jest dla mnie „Dark Side Of The Moon”. Natomiast jako pojedynczy utwór – suita „Atom Heart Mother”.  
– Wiem, że byłeś uczestnikiem koncertów: Pink Floyd w Wiedniu podczas trasy „A Momentary Lapse Of Reason” oraz „The Wall – Live in Berlin” Rogera Watersa. Czy mógłbyś porównać te koncerty?  
– Koncert w Berlinie miał być czymś wyjątkowym. Niestety kłopoty natury technicznej zepsuły

to widowisko. Nie podobała mi się również obsada wokalna, którą dobrał Waters. Piosenki z repertuaru Pink Floyd nie powinny być wykonywane przez kogoś innego, nie brzmią wtedy jak należy. Zdecydowanie wybrałbym koncert Pink Floyd w Wiedniu. Braku Watersa nie odczuwało się, a samo widowisko było bardziej efektowne. Cała ta oprawa świetlna, dźwięk kwadrofoniczny, sztuczne ognie – wszystko to złożyło się na bardzo udany koncert.  
– Jak oceniasz Davida Gilmoura w roli wokalisty?  
– Uważam, że Gilmour ma zupełnie dobry głos, natomiast na pewno nie śpiewa tak dobrze jak gra na gitarze. Dla mnie jest w tej chwili jednym z najlepszych gitarzystów na świecie, nie ujmując nie Claptonowi czy innym sławom.  
– Czy sądzisz, że może dojść do reaktywowania Pink Floyd z Rogerem Watersem?  
– W tej chwili nie ma takiej możliwości, żeby się zeszli. Za bardzo się nienawidzą.  
– Twoje ostatnie informacje o zespole...  
– Nie ma takich informacji. Zawiesili działalność. W jednym z ostatnich wywiadów, do których dotarłem, Gilmour mówi, że na razie ma dosyć, chce odpocząć i więcej czasu poświęcić rodzinie.  
– Czy myślisz o napisaniu następnej książki?  
– Przymierzam się do napisania książki o grupie Led Zeppelin. Jeżeli książka „Pink Floyd” dobrze się sprzeda, zachęci mnie to do sięgnięcia po temat Led Zeppelin.



Pink Floyd w 1966 r.

# Pink Floyd Quiz

Do wygrania – dzięki uprzejmości stoiska muzycznego Audio-Video Land mieszczącego się w łódzkim „Centralu” na drugim piętrze – trzy książki Sławomira Orskiego „Pink Floyd – psychodeliczny fenomen” z autografem autora.

Aby wziąć udział w losowaniu nagród należy prawidłowo odpowiedzieć na poniższe pytania przesłać do redakcji „Odgłosów”. Termin upływa 10 sierpnia. Dopisek „Pink Floyd Quiz” na kartkach pocztowych.

- Na której oficjalnej płycie Pink Floyd ukazał się utwór „Embryo”? Podać tytuł płyty i rok wydania.
- Kto zagrał rolę Pinka w filmie Alana Parkera „The Wall”?
- Podaj tytuł i rok wydania pierwszego singla Pink Floyd.

## TOP 5 Pink Floyd wg Sławomira Orskiego

1. Dark Side Of The Moon (1973)
2. The Wall (1979)
3. Ummagumma (1969)
4. Atom Heart Mother (1970)
5. A Momentary Lapse Of Reason (1987)

## Nowości płytowe

- ALICE COOPER – Hey Stoopid
- CROWDED HOUSE – Woodface
- FOREIGNER – Unusual Heat
- ARETHA FRANKLIN – Dream’s A Dream
- LATOYA JACKSON – Bad Girl
- JOHNNY HATES JAZZ – Tall Stories
- GLADYS KNIGHT – Good Woman
- DAVID KNOPFLER – Lifelines
- HUEY LEWIS AND THE NEWS – Hard At Play
- MARILLION – Holidays In Eden
- NEW MODEL ARMY – Raw Melody Man
- RAY PARKER JR. – I Love You Like You Are Today
- TOM PETTY AND THE HEARTBREAKERS – Into The Great Wide Open
- BONNIE RAITT – Luck Of The Draw
- SIOUXIE AND THE BANSHEES – Superstition
- SOFT CELL MARC ALMOND – Memorabilia – The Singles
- THIS MORTAL COIL – Blood
- GEORGE THOROGOOD – Boogie People
- T’PAU – The Promise
- THE WATERBOYS – The Best Of Waterboys 81-90
- WISHBONE ASH – Strange Affair
- XYMOX – Phoenix
- FRANK ZAPRA – The Best Band You Never Heard In Your Life

## AC/DC Polsce

Ta informacja zelektryzuje zapewne wszystkich fanów muzyki heavy metalowej w Polsce. Po raz pierwszy zawita do nas impreza „Monsters of Rock” z gigantami muzyki metalowej tej miary co: AC/DC, METALLICA czy QUEENSRÛCHE. Organizatorzy (Multimedia, Metal Hammer, Metal Mind Production, Proudly Presents) zapowiadają również wykonawców, którzy mają być dla widzów niespodzianką (special guest).

Jedyny koncert w Polsce odbędzie się 13 sierpnia na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Bramy stadionu dla publiczności zostaną otwarte o 14.00, natomiast koncert rozpocznie się o 15.45. Bilety kosztują w przedsprzedaży 140 000 zł, a w dniu koncertu będą po 170 000 zł.

AW

AW

## James „Blood” Ulmer w „Akwarium”

Gwiazdą lata w warszawskim Jazz Clubie „Akwarium” będzie znakomity amerykański gitarzysta James „Blood” Ulmer. Jego trio wystąpi 10 sierpnia o godz. 20.30.

James „Blood” Ulmer urodził się 7 lutego 1942 r. w St. Matthews w stanie Pld. Karolina. Już jako 7-letni chłopiec występował w wokalnem kwartecie gospels. Pierwsze swoje lekcje na gitarze pobierał u ojca. W 1961 r. grał jako sideman u znanego organisty Jimmy Smitha. W 1964 r. nagrał swoją pierwszą płytę z organistą Hankiem Marrem. W latach 1967-70 Ulmer przebywał w Detroit, gdzie zetknął się z ruchem „czarnej” awangardy jazzowej, na której czele stali John Coltrane i Archie Shepp. Na początku lat 70. przeniósł się do Nowego Jorku. Występował tam z The Jazz Messengers Arta Blakey’a (krótko) oraz w kwintecie perkusisty Rashieda Ali. W roku 1972 miało miejsce ważne wydarzenie w artystycznej karierze Ulmera – spotkanie z Ornette Colemanem. Od Coleman nauczyl się koncepcji harmolodycznej, którą od tej pory stosuje w swojej grze na gitarze.

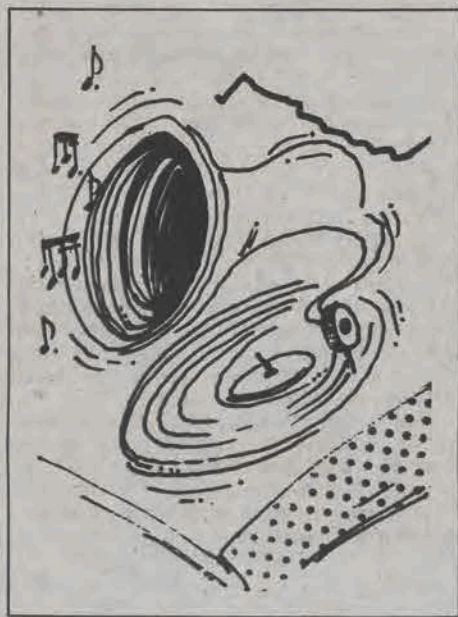
Pierwsze znaczące sukcesy zaczął odnosić pod koniec lat 70. Po założeniu własnego zespołu nagrał płyty: „No Wave” (1980), „Free Lancing” (1981), oraz „Black Rock” (1982), które doszły do szczytów listy bestsellerów jazzowych. Stał się jedną z największych atrakcji zarówno klubów jazzowych jak i rockowych. Część krytyków obwołała go „największym gitarzystą od czasu Jimi Hendrixa”, twórcą nowego stylu w jazzie, inni uznali go za muzycznego hochsztaplera.

Jego muzyka wymyka się wszelkim klasyfikacjom. To cocktailowa mieszanka takich gatunków muzycznych jak: rhythm and blues, punk, reggae, hard rock, new wave czy jazz. Ulmer pytany o swoich idoli muzycznych, wymienia najczęściej takie nazwiska – Jimi Hen-

drix, James Brown, Ornette Coleman, Don Cherry, Lester Bowie.

James „Blood” Ulmer gościł już w Polsce dwukrotnie. Po raz pierwszy podczas festiwalu Jazz Jamboree’83. Wtedy muzyka jego tria (gitara, skrzypce, perkusja) spotkała się z krańcowo różnymi opiniami. Byłem na tym koncercie oraz na jam session w Jazz Clubie „Remont”, gdzie również grał Ulmer i muszę stwierdzić, że ta nieszablonowa muzyka zrobiła na mnie duże wrażenie. Kolejny występ w Polsce zespołu Ulmera Blues Experience miał miejsce we Wrocławiu podczas Jazzu nad Odrą’89. Koncert ten spodobał się fanom jazzu i rocka. W skład Blues Experience wchodził: Billy Williams (g), Amin Ali (bg) i Calvin Weston (dr). Prawdopodobnie z dwoma ostatnimi muzykami James „blood” Ulmer wystąpi 10 sierpnia w „Akwarium” podczas swojej trzeciej wizyty w Polsce.

Andrzej Woszczyk



## TOP 10

Single

1. Unbelievable EMF
2. Rush Rush PAULA ABDUL
3. Right Here, Right Now JESUS JONES
4. (Everything I Do) IDO It For You BRIAN ADAMS
5. P.A.S.S.I.O.N. RHYTHM SYNSCATE
6. I Wanna Sex You Up COLOR ME BADD
7. Piece Of My Heart TARA KEMP
8. Place In This World MICHAEL W. SMITH
9. Summertime DJ JAZZY JEFF AND THE FRESH PRINCE
10. Here I Am (Come And Take Me) UB 40

Albumy

1. For Unlawful Carnal Knowledge VAN HALEN
2. Unforgettable NATALIE COLE
3. Slave To The Grind SKID ROW
4. Spellbound PAULA ABDUL
5. Gonna Make You Sweat C & MUSICFACTORY
6. Luck Of The Draw BONNIE RAITT
7. Robin Hood: „The Prince Of Thieves” ORIGINAL SOUNDTRACK
8. Out Of Time R.E.M.
9. Efil4zaggin NWA
10. No Fences CARTHROOKS

wg „Billboard” 20.07.1991

## Muzyczny serwis

Z kraju: 28 lipca odbędzie się w Operze Leśnej w Sopocie koncert z okazji 15-lecia działalności grupy „Kombi”. W dniach 1-4 sierpnia odbędzie się Piknik Country w Mragowie. Spodziewane gwiazdy to: Bobby Bare z 11-osobowym zespołem z USA oraz Żanna Biczewska z ZSRR. W ramach VI Światowego Dnia Młodzieży, który odbędzie się w Częstochowie w dniach 8-15 sierpnia zorganizowany będzie drugi festiwal wykonawców chrześcijańskich pod nazwą II Good News Festival. W dniach 11-13 sierpnia na stadionie „Włókniarza” w Częstochowie wystąpią m.in.: George Hamilton IV, Take Six, Donna Summer, BB & CC Winans (wszyscy z USA) oraz Krystyna Prońko, Stanisław Sojka i Spirituals Singers Band. O największej gwiazdzie festiwalu – grupie Take Six – za tydzień. Stanisław Sojka zapowiada, że jeszcze w tym roku ukaże się jego nowa płyta „Neopositiv” nagrana z udziałem Janusza Iwańskiego.

Ze świata: Jeszcze w tym roku ma się ukazać wspólna płyta dwóch ex-Beatlesów – Paula McCartney’a i George’a Harrisona. Nową płytę nagrywa również trzeci ex-Beatles Ringo Starr, a producentem jest przyjeźdźca Jeff Lynne (ex ELO). Mick Jagger nagrał do tej pory dwie płyty solowe – „She’s the Boss” (1985) oraz „Primitive Cool” (1987). Obecnie z pomocą Lenny Kravitz (autora bardzo dobrej płyty „Mama Said”) Jagger przygotowuje swoją trzecią płytę solową. Amerykańska grupa Guns n’Roses zapowiada swoją podwójną płytę „Use Your Illusion I & II” na wrzesień. Pierwszy singel z tej

płyty „You Could Be Mine” znajduje się również na ścieżce dźwiękowej nowego filmu Jamesa Camerona „Terminator 2: Judgement Day” z Arnoldem Schwarzeneggerem w roli głównej. „Hey Stoopid” to tytuł nowej płyty Alice’a Coopera – weterana-hard rocka. W nagraniu tytułowym Cooperowi towarzyszą Slash (Guns n’Roses), znakomity gitarzysta Joe Satriani oraz były wokalista grupy Black Sabbath Ozzy Osbourne. Stany Zjednoczone są zalane pirackimi płytami kompaktowymi z koncertów R.E.M., Pink Floyd, Boba Dylana oraz Bruce’a Springsteena. Tłoczy się je najczęściej we Włoszech, Niemczech oraz krajach Europy Wschodniej. Na giełdach pirackie kompaktki osiągają cenę do 100 dolarów. Najbardziej poszukiwanym pirackim kompaktkiem jest „Black Album” Prince’a z 1987 r., który nie został wydany na życzenie samego wykonawcy. Na aukcji w Nowym Jorku został niedawno sprzedany za rekordową cenę 13,5 tys. dolarów. Największym wydarzeniem trwającego jeszcze 25 Montreux Jazz Festival stał się koncert poświęcony pamięci Gila Evansa. 8 lipca orkiestra George’a Gruntza pod dyktando Quincy Jonesa, z solistą Milesem Davisem przypomniła utwory z okresu współpracy Gila Evansa z Milesem Davisem. Na program koncertu złożyły się utwory z takich płyt jak: „Birth of the Cool”, „Miles Ahead”, „Sketches of Spain” i „Porgy and Bess”. 16 lipca odbyła się w Paryżu uroczystość udekorowania Milesa Davisa czerwoną wstęgą Legii Honorowej.



# Federacja głuchoniemych

W Polsce, jeszcze zniewolonej, jedyną enklawą, gdzie było cienie źródła swobodniejszej myśli, były związki twórcze, a przynajmniej niektórzy z nich. Wysoki autorytet moralny osiągnął na przykład Związek Literatów Polskich, którego członkowie angażowali się w rozmaite protesty nie tylko w sprawach prześladowanych działaczy opozycji, ale także w obronie kultury w ogóle. Stowarzyszenie Filmowców Polskich pod wodzą Andrzeja Wajdy powołało nawet Komitet Ocalenia Kinematografii, wywołując swoim działaniem groźne pomruki polityków z wszechwładnej PZPR.

Stan wojenny dał szansę reżimowi komunistycznemu rozpedzić na cztery wiatry związki artystów, w których nagromadził się tak niebezpieczny materiał wybuchowy jak niezależna myśl. Niektórym z tych stowarzyszeń pozwolono się następnie zreaktywować i dzięki tej „wielkoduszności” powstały kadubowe twory lojalistów, podczas gdy inni trwali w uporze czekając na nadejście lepszych czasów. Kiedy zaś te czasy nadeszły, kiedy znaleźliśmy się we własnym domu i artyści zorganizowali się na powrót według własnego uznania, okazało się nagle, że zapotrzebowanie na niezależną myśl spadło niemal do zera, a co gorsza spadło także zapotrzebowanie na samą kulturę. Na naszych oczach upadają teatry, likwidują się kina (gdzie nawet najgłośniejsze przeboje amerykańskie nie znajdują wzięcia) zamykane są na klódki biblioteki, dogorywa fonografia. Ba, i chałupnicze twory rodzinne rozrywki znajdują coraz mniejsze uznanie widzów. Jan Pietrzak, protegowany pana prezydenta, do niedawna najpopularniejszy w Polsce kabarecista, przestał już szukać lokalu dla swoich występów. Po prostu nie znajduje chętniej publiki, poza kancelarią pana prezydenta, która może jednorazowo wypełni salę.

Oszołomieni tym stanem rzeczy artyści milczą, chociaż zagrożone są same podstawy narodowej kultury i to już nie wskutek złej woli tepych urzędników czy moskiewskiego chowu propagandzistów, tylko z przyczyn strukturalnych. Inni artyści, zwłaszcza z branży piosenkarskiej, umizgują się do Piotra Szczepanika, którego prezydent Wałęsa uczynił strażnikiem polskiego dziedzictwa kulturowego i postawił nad starym, a więc pewnie i zniedołężniałym hrabią Roztworowskim, który formalnie kieruje ministerium odpowiedzialnym za sztukę.

Wprawdzie zapotrzebowanie na wolną myśl nie upadło, ale twórcy wolą występować w chórze chwalców, niektórzy nawet deklarują się jako „pacholkiowie pana prezydenta”. Podobnie ubliżających godności deklaracji nie wymagał nawet reżim Jaruzelskiego, a i Bolesław Bierut, także prezydent Rzeczypospolitej, choć innej, uznałby to za niesmaczny żart. Jak widać opozycjonistom sprzykrzyła się już rola opozycjonistów i wolą posady, które w dzisiejszych czasach wcale nie są pewne. Choć byłoby co skrytykować i na co ponarżać.

Jeszcze na początku, w okresie premierowania przez Tadeusza Mazowieckiego, twórcy ogłaszali jakiegoś apele i nawet nawiądywała się prasa, która je chciała drukować. Apele nie odnosiły co prawda większego skutku, bo zdarzały się z wymaganiami rynku, ale premier, jako inteligent, dawał im posłuch. Inteligenci, to jak wiadomo, ludzie z natury słabi, nawet gdy sami siebie określają jako „siłę spokoju”.

Ale ten okres względnej nadziei dla twórców szybko się skończył, prasa przestała ogłaszać apele, deklaracje i oświadczenia twórców. W najlepszej sytuacji są ci, którzy jeszcze w reżimie komunistycznym wypracowali sobie emerytury. Młodzi klepią biedę i niczego już nie podpisują, niczego nie uchwalają. Związki twórcze, nawet te najbardziej słuszne, któ-

re czekały z utęsknieniem na samorządną Rzeczpospolitą i doczekały ziszczania swych marzeń, teraz już milczą i ogluchły, chociaż ich członkom wcale się nie przelewa. Oczywiście prezesi i najciszej zarządy słusznych związków zachowali jeszcze jakieś pozory wpływu, jeszcze twórcy słusni są gdzieś zapraszani a nawet jeżdżą za granicę, ale źródło wysycha coraz bardziej i zasilane jest coraz niechętniej ze środków bynajmniej nie rodzimych.

Jeszcze parę miesięcy temu przejawiał pewną aktywność Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Była to Federacja organizacji najbardziej zasłużonych w walce z reżimem komunistycznym. Ostatnio już się nic o tym Komitecie nie słyszy: może nie ma on środków na wynajęcie sali, w której można by się zebrać i pogadać o swoich bolączkach. Tylko pogadać, bo na więcej nie ma już szans. Federacja reprezentantów niezależnych sił przekształca się więc w federację głuchoniemych, a może nawet głuchoniemych i niewidomych razem wziętych. Dla świętego spokoju lepiej jest nie widzieć, nie nie słyszeć, a już na pewno nie mówić. Etos polskiej inteligencji twórczej rozplynął się gdzieś wraz z etosem „Solidarności”. Idę o zakład, że niektórzy twórcy zajęli się układaniem reklamowych piosenek, którymi raczy nas telewizja. Ci najbardziej zasłużeni. Dobrze, że jednak znalazło się dla nich jakieś miejsce w samorządnej Rzeczypospolitej, bo taki Platon (idealista jak Stefan Niesiołowski) w ogóle chciał wyrzucić poetów z państwa idealnego uważając ich za element pasożytniczy. Stefan Niesiołowski uzasadniał tylko w łódzkiej telewizji, dlaczego należy podnieść komorne plastykom.

Napisałem, że związki twórcze przypominają federację głuchoniemych, ale to oczywiście nieprawda. Związek głuchoniemych, ten prawdziwy, ma większą siłę przebiecia, uzyskał nawet dostęp do telewizji. Ale język migowy, często bicie się w piersi, zewnętrznie przynajmniej upodobił się do modlitwy. Twórcom nie pozostaje nic innego, jak modlić się żarliwie.

Jerzy Darnal

# Łódzkie tradycje bibliofilskie

Łódź jest miastem, o którym powszechnie się sądzi, tak zresztą myślą także i jej mieszkańcy, że jest miastem złym dla kultury. W kompleksy wpędza łodzian bliskość Warszawy i jej celebrowana stołeczność, nie mamy Wawelu i królewskich tradycji, nie możemy aspirować do rangi kulturalnego centrum regionu jak Poznań, Wrocław czy Gdańsk. Ciągłe żyje zapoczątkowana 80 lat temu powieścią Zygmunta Bartkiewicza tradycja „złego miasta” i skłonni jesteśmy nie dostrzegać tego, czego inni mogą nam pozazdrościć. A przecież istnieją w Łódzku pejzaż kulturalnym instytucje i inicjatywy znaczące i przynoszące miastu uznanie. Jednym z takich godnych uwagi zjawisk jest zorganizowany ruch bibliofilski.

Jego początki sięgają 1927 r., kiedy to Przeclaw Smolik – lekarz, pisarz, społecznik i wytrawny miłośnik pięknej książki, zarazem tawnik PPS-owskiego Zarządu Miejskiego oraz przewodniczący Wydziału Oświaty i Kultury w Zarządzie Miasta Łodzi – zorganizował Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi (TBL). W gronie jego członków znaleźli się między innymi Jan Augustyniak, organizator i dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej, artysta grafik Karol Hiller, księgarz Włodzimierz Pfeiffer, właściciel „Drukarni Polskiej” Ludomir Mazurkiewicz, nauczyciel polonisty Zygmunta Hajkowskiego. Wspierali bibliofilów przemysłowcy, tacy jak Maurycy Poznański, bracia Rosenblattowie, Aleksander Heiman-Jarecki.

Obok organizowania odczytów, wystaw i zebrań poświęconych sztuce książki, Towarzystwo Bibliofilów podjęło szereg inicjatyw wydawniczych, które są trwałymi jego dorobkami. Do najbardziej znaczących można zaliczyć tekę „Ekslibrisy Karola Hillera (1927 r.)”, „Zdobnictwo książki w twórczości Wyspiańskiego” autorstwa Przeclawa Smolika (1928 r.) oraz „Losy księgozbioru Feliksa Wężyka z Mroczenia” (1928 r.) Zygmunta Hajkowskiego. Największym osiągnięciem edytorskim TBL była pięknie wydana książka P. Smolika „Jana Bukowskiego prace graficzne” (1930 r.). Godną uwagi jest także praca zbiorowa „O sztuce nowoczesnej” (1934 r.), na którą złożyły się rozważania estetyczne Jana Brzękowskiego, Leona Chwistka, Przeclawa Smolika i Władysława Strzebińskiego.

Rok 1939 przerwał działalność łódzkich bibliofilów, a wielu z nich nie doczekało końca wojny, między innymi w Oświęcimiu zginął drugi po P. Smoliku prezes TBL Zygmunt Hajkowski. Do przedwojennej tradycji powrócono w 1958 r., bowiem wcześniejsze czasy nie sprzyjały bibliofilstwu. Ostatni z żyjących członków TBL Jan Augustyniak zaprosił do Miejskiej Książnicy grupę bibliofilów skupiających się wokół antykwariatu „Słowo” Henryka Maszewskiego i w wyniku tego spotkania powstał Klub Miłośników Książki jako sekcja Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Wśród jego aktywnych członków i sympatyków, którym przewodził ówczesny wicedyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej Michał Kuna, znaleźli się między innymi znany kolekcjoner Jerzy Dunis-Borkowski z Krośniewic, historyk piśmiennictwa Jadwiga Siniarska-Czaplicka, artysta malarz Jerzy Krawczyk, redaktor Bolesław Busiakiewicz oraz liczne grono bibliotekarzy, księgarzy i miłośników książki – Cecylia i Janusz Duninowie, Izabela Nagórka, Roman Kaczmarek, Jan Gręcański, Jan Rogoziński, Andrzej Kempa, Waclaw Pryt. Z KMK podjęli współpracę artyści graficy: Teofil Łóźwiak, Hanna Stańska, Janusz Tusiński, Jerzy Leszek Stanecki i inni.

KMK istniał przez dziesięć lat i ukształtował nowe środowisko bibliofilów łódzkich, nawiązujące do tradycji międzywojennej, ale pozbawione już Smolikowskich możliwości wydawniczych. Obok spotkań i odczytów podjęto również próby własnych publikacji, z których najambitniejszą był tom „Znaki wodne piśmiennictwa 1750-1850” (1960 r.) autorstwa Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej.

W 1967 r. członkowie KMK i sympatyzujący z nimi ludzie emocjonalnie związani z książką, powołał trzecią w dziejach Łodzi organizację bibliofilską – Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki. Przez 17 lat funkcję prezesa ŁTPK pełnił Michał Kuna, znawca spraw książki i bibliofilstwa, typograf i wydawca, człowiek barwny i renesansowy, znany wszystkim miłośnikom książki w Polsce. W 1984 r. ster bibliofilskiej Łodzi przejął na cztery lata bibliotekoznawca Bogdan Jastrzębski, a obecnie, od 1988 r. prezesuje łódzkim miłośnikom i przyjaciołom książki so-

cjolog i kolekcjoner grafiki Grzegorz Matuszak. Trudno w krótkim artykule w pełni zaprezentować całokształt działalności ŁTPK. Na ten temat powstała zresztą interesująca praca doktorska, którą opublikowało Wydawnictwo UE i zainteresowanych szczegółami odsyłam do opracowania Marii Majzner „Rodowód i historia Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki do 1981 r.”, Łódź 1987. A gdy za pół roku przypadnie 25 rocznica działalności ŁTPK, wtedy będzie dobra okazja do dokładniejszego przedstawienia czym zajmują się łódzcy bibliofile.

W tym miejscu chcę tylko podkreślić, że ŁTPK jest jednym z najbardziej aktywnych towarzystw bibliofilskich w Polsce, organizuje wiele różnorodnych imprez, odczytów, wystaw, wycieczek i spotkań klubowych. Jedną z najważniejszych był Ogólnopolski Zjazd Bibliofilów, który odbył się w Łodzi we wrześniu 1987 r. i którego dokumentacja jest starannie wydana w ubiegłym roku książką pamiątkową. Zainteresowanych publikacjami ŁTPK odsyłam do opracowania Jerzego Andrzejewskiego „Bibliofilstwo w Łodzi w latach 1927-1987. Dokumentacja bibliograficzna wydawnictw i druków okolicznościowych”, Łódź 1987. Wspomnę tylko, że wśród tych publikacji są teki grafiki i ekslibrisów, trzy tomy „Listów bibliofilskich”, pierwodruki poezji (Konstanty I. Gałczyński) i listów Witolda Gombrowicza, katalogi wystaw i eseje (Jan Muszkowski „O wrogach i miłośnikach książki”, Janusz Zagrodzki „Symbolizm w sztuce Edwarda Okunia”).

Wszystko to jest dziełem Towarzystwa, które liczy nieco ponad stu członków, utrzymuje się z własnych środków i tylko sporadycznie korzysta ze wsparcia sponsorów, przede wszystkim Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych i w którym wszystkie prace są wykonywane społecznie.

A czym jest samo bibliofilstwo? Na ten temat istnieje wiele rozmaitych definicji i prób opisania zjawiska miłośnictwa i ulubienia książek. Prezes ŁTPK Grzegorz Matuszak określa to tak: „Sądzę, że bibliofilstwo jest pięknym sposobem dowartościowania życia, nadania mu nowych barw i kształtów, zapewne może nieco elitarnych, ale szeroko dostępnym obszarem intelektualnej przygody, estetycznej satysfakcji i twórczego uczestnictwa w kulturze. Przecież nie samym chlebem człowiek żyje”. To dobrze, że istnieją ludzie tak myślący, skupieni w Łódzkim Towarzystwie Przyjaciół Książki.

Jan Wolborski

# Moja największa miłość

## Konkurs „Odgłosów”

Szanowni Państwo, chcemy Wam dać niepowtarzalną autorską szansę. Miłość tyle razy opiewana, ale też i brukana przez zawodowych literatów, pozostaje uczuciem, które wciąż wymyka się opisowi. Wiedzą o tym najbardziej zakochani, porozumiewający się bez słów, językiem spojrzenia i tylko dla nich zrozumiałych gestów. Ale ten swoisty kod wart jest przekładu i utrwalenia na papierze, a może nawet druku.

Nasz konkurs ma charakter najpełniej otwarty, nie wyznaczamy też żadnych terminów. Będziemy po prostu udostępniać swoje łamy dla zwierzeń tych wszystkich, którzy czują potrzebę podzielenia się nimi z innymi Czytelnikami „Odgłosów”. Nie stawiamy żadnych wymagań wiekowych ani środowiskowych, prosimy tylko, aby prace przysyłane były w maszynopisie nie przekraczającym dziesięciu stron i najogólniej rzecz biorąc odpowiadały założeniom konkursu określonym w jego hasle: „Moja największa miłość”. Tylko tyle, a jednocześnie aż tyle.

Prace autorów, którzy pragną zachować anonimowość, publikowane będą pod pseudonimem. Utwory konkursowe mogą też, rzecz jasna, być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem, i tak pojawiają się w druku. Doraźną nagrodą dla śmiałości będzie ujrzenie swej wypowiedzi na łamach „Odgłosów” i honorarium stosowane w naszej redakcji do prac literackich.

Ale to dopiero pierwszy etap naszego niustającego konkursu.

Utwory najlepsze, zakwalifikowane przez jury, którego skład podamy w terminie późniejszym, wejdą do książki „Moja największa miłość” i oczywiście będą honorowane dodatkowo, zgodnie z zasadami prawa autorskiego. Choć rzeczywiste najwyższą satysfakcją, zarówno dla debiutantów, jak i profesjonalistów w dziedzinie pióra, będzie możliwość przekazania swych przemyśleń innym ludziom, którzy czekają na takie zwierzenia. Może pomożecie im ukończyć piekącą ranę, a może zachęcicie ich do działań,

odmieniających ich dotychczasowe życie. Może dacie im porcję niepowtarzalnych wrażeń, jakie prawie zawsze są udziałem dokumentów wielkiego uczucia, zderzenia z autentycznością. Miłość popychała ludzi do działań wzniosłych, ale przyprawiona podłością, skłaniała ich też do niegodziwości, przynosiła słodycz, równie często jednak zadawała ból, kierowała się dobrocią, choć zna także podstęp i zdradę, a nawet przemoc. Właśnie to bogactwo stanów uczuciowych i motywów działania czyni z miłości niewyczerpany temat, który od zarania literatury fascynuje czytelnika.

Redakcja „Odgłosów” pracuje także nad regulaminem dodatkowego wyróżniania prac konkursowych. Ponieważ dotyczyć on będzie wszystkich prac, obejmie utwory ogłoszone przed ostatecznym ustaleniem listy nagród specjalnych, bowiem pretendować będą mogły do nich tylko zwierzenia opublikowane na naszych łamach w ramach cyklu „Moja największa miłość”.

Dlatego też, Szanowni Czytelnicy, nie zwlekajcie z odzewem i już dziś zacznijcie przelewać swoje myśli na papier. Każda praca konkursowa zostanie rzetelnie przeczytana przez członków kolegium redakcyjnego, a utwory zakwalifikowane do druku będą sukcesywnie pojawiać się na łamach „Odgłosów”.

Czekamy na Wasze listy odpowiadające hasłu „Moja największa miłość”.

„Odgłosy”

# Rozmowa z optymistą

## Fikcja literacka

Nie pamiętam już kto pierwszy sformułował sentencję, że optymistą to jest po prostu człowiek gorzej poinformowany. Zjemy teraz w świecie przepelnionym informacją. Spływa ona na nas wielką lawiną ze wszystkich głośników, ekranów, ze wszystkich środków masowego przekazu. Jest tych informacji tak wiele, nawet bez sięgania ręką – i może dlatego optymistą staje się już rzadkim okazem w niektórych tylko zakątkach świata. Ale przecież są jeszcze tacy. Rozmawiałem niedawno z człowiekiem, który mieni się optymistą. I to tu w naszym kraju. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

**Ja:** Zamyka się mnóstwo teatrów, księgarń, bibliotek. Likwidują się wydawnictwa, nie ma kto finansować literatury, maleje liczba tytułów.

**On:** No i dobrze. Dotychczas byle kto napisał byle co i już mianował się pisarzem, któremu przysługiwały wszelkie apanaże ze strony jakże pobłażliwych władz reżimowych. Nareszcie rynek przestanie być zaśmiecany tysiącami niepotrzebnych książek, a ostatecznie się tylko to, co najlepsze.

**Ja:** Kiedy właśnie te książki, ukazują się teraz w masowych nakładach, to są kryminały, trędowate, senniki egipskie i Pitigrilli.

**On:** No i bardzo dobrze, nareszcie wydaje się to, czego ludzie oczekują. Książka dla czytelnika, a nie odwrotnie.

**Ja:** Przejazdy w komunikacji miejskiej, a jeszcze bardziej dalekobiężnej, międzymiastowej, drożają tak, że ludziom odchodzi ochota do jakiegokolwiek poruszania się po kraju.

**On:** No i bardzo dobrze. Zamiast jeździć przepelnionym tramwajem i autobusem miejskim, ludzie będą zażywać spaceru, który jakże dodatnio wpływa na samopoczucie. A te podróże dalekie, międzymiastowe? Dzięki ograniczeniu liczby podróży zmniejszy się też liczba wypadków.

**Ja:** Na skutek przejścia w stosunkach handlowych ze Związkiem Radzieckim na rozliczenia dolarowe stracimy wielką część radzieckiego rynku zbytu. Oni nie będą kupować za dolary tego, co dotychczas kupowali za ruble. My zaś nie sprzedamy nikomu za dolary tego, co wschodniemu sąsiadowi sprzedaliśmy za ruble. Grozi to postojem setek naszych zakładów przemysłowych.

**On:** Widzi pan jak to świetnie, nareszcie sprawa się wyjaśniła, nareszcie widzimy wyraźnie w jakim miejscu Europy i w jakim punkcie rozwoju przemysłowego jesteśmy. Teraz nareszcie można jasno gospodarować.

**Ja:** Jest pan optymistą. Jak pan sobie wyobraża zakończenie niustannego procesu wzrostania cen i przejścia do liczenia w złotych, a nie w miliardach złotych.

**On:** Ja tego sobie, proszę pana, nie wyobrażam. Pamiętam natomiast moją nieboszczkę matkę, która z wielkim rozrzewaniem wspominała swoje lata młodości, mimo że właśnie wtedy była w Polsce najgorsza inflacja i największe bezrobocie. Co z tego wynika? Z tego wynika, że gruntu to, proszę pana, młodym być i zdrowym być. I zachować dobry humor. A jakże można zachować dobry humor, nie będąc na przekór wszystkiemu i mimo wszystko optymistą?

**Ja:** Skoro tak, to może zechce mi pan powiedzieć jak wyobraża pan sobie rozwiązanie problemu skupu butelek używanych oraz sprawę telefonów, które w ogóle nie chcą działać?

**On:** Jeśli chodzi o telefony to nie należy tej sprawy demonizować. Mówi się u nas o wiele za dużo, a sprawne telefony podwoiły jeszcze tę niepokojącą orgię gadulstwa. Myślę, że usprawnimy telefony w tym momencie, kiedy będziemy mieli coś do powiedzenia. Jeśli zaś chodzi o skup butelek. Po prostu sprawa skupu butelek rozwiązać się nie da i nigdy rozwiązana w naszym kraju nie będzie.

Włodzimierz Krzemiński

## WYJAZDY DO ANGLII

i z powrotem

- TANIO
- WYGODNIE MINIBUS
- z domu do domu.

Tel. Łódź 15-46-15.

## Dokumenty, relacje: Sytuacja Żydów w Polsce w latach 1945-1946

4 lipca 1946 roku rozegrała się w Kielcach tragedia. Tłum, w którym byli milicjanci i wojsko zamordowało wielu Żydów. Ofiar było 42, część zginęła w pogromie, część zmarła z ran, kilku wyciągnięto z pociągu i pomordowano. Tragedia kieleckich Żydów wstrząsnęła światową opinią publiczną. Publikowane ostatnio dokumenty i relacje rzucają szersze światło na tamte wydarzenia.

## I. Jaki był rok 1946?

Do Polski wracali ludzie z wojennej tułaczki. Nie wszyscy. Część tych, których wojna porzuciła po świecie, nie zdecydowała się wracać do zrujnowanego kraju. Uznali, że zachodzące zmiany im nie odpowiadają, że Polska po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej, dostała się pod panowanie ZSRR. W kraju kształtował się ustrój coraz bardziej wzorowany na modelu radzieckim, choć proces pełnej stalinizacji Polska miała jeszcze przed sobą.

Rok rozpoczął się od przyjęcia ustawy o upaństwowieniu przemysłu. 22 stycznia przyjęto dekret o odpowiedzialności za faszycyzację państwa przed wrześniem 1939 roku. W lutym powołano Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej. Rozpoczęło się wysiedlanie Niemców z ziem zachodnich i północnych.

5 marca 1946 roku w Fulton w USA Winston Churchill otrzymywał stopień doktorski w Westminster College. W uroczystości wziął udział prezydent USA Harry Truman. W wygłoszonym wówczas przemówieniu Winston Churchill powiedział:

„Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem opuściła się żelazna kurtyna w poprzek kontynentu. Poza tą linią znajdują się wszystkie stolice dawnych państw środkowej i wschodniej Europy, Warszawa, Berlin, Praga, Wiedeń, Budapeszt, Belgrad, Bukareszt i Sofia – wszystkie te sławne miasta i zamieszkujejąca wokół nich ludność leżą, że się tak wyrażę, w strefie radzieckiej i wszystkie, w takiej czy innej formie, podlegają nie tylko wpływom radzieckim, ale i kontroli z Moskwy w bardzo wysokim, niekiedy rosnącym stopniu.

Partie komunistyczne, które były bardzo małe w tych wszystkich państwach Europy Wschodniej, otrzymywały stanowiska nadrzędne i władzę, o wiele przewyższającą ich liczebność i dążą wszędzie do zdobycia wpływów totalistycznych. Prawie wszędzie panują rządy policyjne, i, z wyjątkiem Czechosłowacji, nie ma tam prawdziwej demokracji”.

Świat wchodził w okres zimnej wojny. W Polsce toczyła się walka podziemna. 5 lutego rozpoczęła się 23-dniowa akcja Wojska Polskiego przeciw zbrojnemu podziemiu w województwach białostockim, lubelskim i warszawskim. Utworzono Najwyższy Trybunał Narodowy i Prokuraturę Najwyższego Trybunału. Pod koniec marca powstał Komitet Porozumiewawczy Organizacji Polskiej Podziemnej.

Zakazane zostały obchody 3 maja. Młodzież nie usłuchała. W wielu miastach Polski gimnazjaliści i studenci zastrajkowali. Młodzieżowe

demonstracje trwały prawie do połowy maja. 21 maja odbył się w Warszawie proces 13 studentów, których oskarżono o przynależność do NSZ i „Organizacji Polskiej”. Na początku maja spłonęło kilkadziesiąt zabudowań we wsi Wąwolnica koło Płocka. PSL oskarżał UB o umyślne podpalenie. W kilkanaście dni później zdelegalizowano kilka zarządów powiatowych PSL oskarżonych o kontakty ze zbrojnym podziemiem.

Pod koniec stycznia 1946 roku odbył się I Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego. Prezsem został Stanisław Mikołajczyk. Kongres opowiedział się za oczyszczeniem ustroju „z dążności do odgórnego i na wzórach totalitarnych partego organizowania społeczeństwa”. Domagano się zniesienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz Ministerstwa Informacji i Propagandy. Żądano przeprowadzenia wolnych wyborów, rozwoju samorządu, a stosunki polsko-radzieckie proponowano oprzeć na fińskich wzorach.

Już w lutym 1946 roku Władysław Gomułka ostro zaatakował PSL, wokół którego gromadziły się wszystkie siły przeciwne wprowadzaniu do Polski radzieckiego modelu i przeciwne władzy komunistów. W czerwcu powstało konkurencyjne w stosunku do PSL – PSL „Nowe Wyzwolenie”. Pod koniec czerwca odbyło się referendum.

W referendum Polacy odpowiadali na trzy pytania: czy znieść Senat? – na pytanie to według oficjalnych danych „tak” odpowiedziało 68,2 procent; czy jestes za ustrojem, który wprowadza reformę rolną i upaństwowia przemysł? – na to pytanie „tak” odpowiedziało 77,3 proc.; czy chcesz utrwalenia zachodnich granic na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej? – na to pytanie „tak” odpowiedziało 91,4 procent. Udział w referendum wzięło około 85 procent uprawnionych do głosowania. W Krakowie natomiast 84 procent było przeciw zniesieniu Senatu, 59 procent przeciw zmianom ustrojowym i 30 procent przeciw zmianom granicznym. Kraków został uznany za „bastion reakcji”.

## II. Stosunek Polaków do Żydów

Ambasador włoski w Polsce Eugenio Reale na początku lipca 1946 roku pisał do Rzymu: „Oblicza się, że Niemcy wymordowali w obozach śmierci w Polsce prawie 6 milionów Żydów. Wśród nich ponad 3 200 000 było Żydami polskimi. Na ogólną liczbę 3 500 000 Żydów, którzy mieszkali w Polsce w 1939 roku, zaledwie 40 000 znajdowało się na terenie Polski w chwili zakończenia wojny”.

Można było się spodziewać, że Polacy, którzy byli świadkami masowego mordowania Żydów, po wojnie będą mieli do nich zupełnie inny stosunek, aniżeli zdarzało się to przed wojną. „Ponieważ liczba Żydów jest tak mała – pisał do Rzymu Eugenio Reale – można było przypuszczać, że prawdziwy „problem” żydowski w ogóle nie istnieje”. I dalej pisał: „Problem żydowski istnieje w Polsce, chociaż ma aspekty

odmienne, czy nawet odwrotne, niż w okresie przedwojennym”.

Krystyna Kersten w książce „Narodziny systemu władzy Polska 1943-1948” tak widzi ten problem:

Źródła wzajemnych uprzedzeń przetrwały jednak, choć często miały inne podłoże. Nadal w części społeczeństwa zachował się negatywny stosunek do Żydów, przybierając rozmaite formy – od biernego niechęci wobec obcych do agresywnego antysemityzmu i rasizmu”.

Jej zdaniem nastąpiło „nałożenie się nieufności i niechęci wobec Żydów na poczucie zagrożenia narodowego przez Rosję i komunizm”, co powodowało „wszechstronną intensywność negatywnych emocji”. W rozpowszechnianych wówczas ulotkach pisano między innymi: „Żydzi zyskują coraz większe wpływy w bezpiecze i urzędach”, „nie złożymy broni żydokomunie”. Żydowskie pochodzenie przypisywano wielu ówczesnym politykom, choć wydzili się z polskich rodzin. Zresztą często również ludzie żydowskiego pochodzenia byli już całkowicie spolonizowani i czuli się w pełni Polakami. „Któż z bardziej znanych ludzi w Polsce – pisał wówczas Jerzy Andrzejewski – nie doczekał się etykiety żydowskiej”. Antysemityzm bowiem – jak to słusznie dostrzegła Krystyna Kersten – „stał się ważkim elementem walki politycznej”.

## III. Pod szczególną opieką

W listopadzie 1944 roku w Lublinie powstał Centralny Komitet Żydów Polskich. W styczniu 1946 roku było w Polsce zarejestrowanych 100 tysięcy Żydów, w lipcu tego samego roku – po repatriacji z ZSRR – było 245 tysięcy Żydów. Wielu z nich pobyt w Polsce traktowało jako przystanek na drodze albo do Ameryki, albo do Izraela. Nie chcieli „żyć na cmentarzu”, wśród wspomnień nieodwracalnie minionej przeszłości, wśród cieni pomordowanych. I trudno tego nie zrozumieć. Stąd też i ówczesne władze nie utrudniały dalszej podróży. W Polsce powstało i rozpoczęło swoją działalność Biuro Emigracyjne Agencji Żydowskiej. Wprawdzie w niedługim czasie zmieni się stosunek do państwa Izraela i do emigracji Żydów z Polski, ale to już wychodzi poza omawiany okres.

„Żydzi w Polsce – pisał do Rzymu włoski ambasador Eugenio Reale – korzystają obecnie z najbardziej przychylnego ustosunkowania się rządu, jakie im przypadało kiedykolwiek. Traktowani są na tej samej stopie prawnej i faktycznej co wszyscy inni obywatele i dopuszczani są do wszystkich zawodów i urzędów publicznych.

Ich warunki życiowe są jednak godne pożałowania. Ci, którzy powrócili z obozów pracy, są wycieńczeni głodem, torturami, tragicznymi przeżyciami. Wielu z nich jest chorych, wielu cierpi na gruźlicę. Prawie wszyscy mają nadzernięty system nerwowy i żyją w nieustannym gorzkim przygnębieniu. Wielu z nich straciło rodziny i wszystko to, co posiadali.

## Dawna Łódź

O losie tej książki zdecydował jeszcze w 1968 r. wyrok POP PZPR przy oddziale Łódzkiego Państwowego Wydawnictwa Naukowego, orzekający natychmiastowe zaprzestanie druku „szkodliwego w swej wymowie politycznej dzieła” Jana Fijałki i Janusza Indulskiego „Rozwój opieki zdrowotnej w Łodzi.

## Książka „zbójcka”

Cz. 1: do roku 1945”. Podjęto stosowne rezolucje, potępiono w czambuł autorów, rozrzucono i przetopiono rozpoczęty już skład książki, wreszcie skonfiskowano maszynopis redakcyjny. Roztoczono nad autorami groźnego dla bezpieczeństwa PRL dzieła nadzór SB, bezskutecznie poszukiwano pozostałe egzemplarze maszynopisu „zbójckiej” książki.

Tymczasem tekst książki spoczywał sobie spokojnie w zbiorach zastrzeżonych Biblioteki Uniwersyteckiej i, gdy bezpośrednio niebezpieczeństwo rekwiizycji minęło, został udostępniony autorom przez Jerzego Włodarczyka, ówczesnego dyrektora Biblioteki (za co mu chwala) do dalszej pracy. Kiedy odszedł w przeszłość wszechobecny monopol cenzury, autorzy opublikowali znacznie udoskonalony i uzupełniony w stosunku do pierwotnego tekst monografii, nadając jej tytuł „Opieka zdrowotna w Łodzi do roku 1945. Studium organizacyjno-historyczne” (Łódź 1990).

Do niedawna sądzono, że dopiero w marcu 1843 r. osiedlił się w Łodzi pierwszy lekarz, gdy tymczasem nad zdrowiem mieszkańców rolniczej jeszcze Łodzi czuwał od 1819 r. chirurg II rzędu Jan Antoni Dąbrowski, zatrud-

niony na etacie miejskim od czerwca 1820 r. Równo przed 400 laty, 18 sierpnia 1591 r., biskup włocławski Hieronim Rozdrażewski „poleciał pobudować szpital, który się znajdował i obrócony został na dom prywatny”. Wynika stąd, że już wówczas prywatyzacja nie sprzyjała rozwojowi służby zdrowia. Warto dodać, że owemu biskupowi zawdzięczamy powstanie wsi Rozdrażew, która po latach, już jako Zarzew stała się dzielnicą Łodzi. Pierwszy stały szpital pod wezwaniem św. Aleksandra wzniesiono w 1845 r. w miejscu,



na którym znajduje się dziś Seminarium Duchowne, w znacznej odległości od ówczesnego centrum miasta, a to „dla świeżości powietrza i bliskości rzeki”. Ponad 500-stronicowe studium składa się z pięciu rozdziałów, po-

święconych opiece zdrowotnej od pradziejów Łodzi rolniczej po dni „łódzkiego września” i lata okupacji hitlerowskiej.

Szczegółnej uwadze władarzy tego miasta polecić należy lekturę rozdziału V, poświęconego kondycji lecznictwa otwartego i szpitalnictwa w okresie międzywojnia, kiedy to zgodnie funkcjonowały obok siebie instytucje opieki zdrowotnej, należące do sektora społecznego, samorządowego i prywatnego, wspierane właściwie przez jedną tylko placówkę utrzymywaną wyłącznie z budżetu państwa: Wojskowy IV Szpital Okręgowy. W latach 30-tych rozwinęło się lecznictwo ubezpieczeniowe (Kasa Chorych, Ubezpieczalnia Społeczna), dysponujące siedmiooddziałowym szpitalem przy ul. Zagajnikowej (obecnie im. N. Barlickiego), dwoma wielospecjalistycznymi przychodniami przy ul. Łagiewnickiej i Leczniczej, sanatoriami w Łagiewnikach i w Tuszyńku, czterema aptekami i własnym pogotowiem ratunkowym.

Pracownicy łódzkiej służby zdrowia, Polacy i Żydzi, złożyli obfitą daninę krwi w obronie kraju, ginęli w więzieniach i łagrach sowieckich i w obozach koncentracyjnych hitlerowskiego imperium śmierci. Ponad 70 oficerów – pracowników wojskowej służby medycznej – zostało zamordowanych przez NKWD na terenie ZSRR, wiele nazwisk widnieje na wciągu uzupełnianych listach katyńskich. Symbolem walki o wolność jest męcząca śmierć szefa służby sanitarnej AK na Łodzi dr. Zenona Golczyńskiego, który zginął spalony w więzieniu na Radogoszczu w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r., w przeddzień wyzwolenia Łodzi.

Mądra i rzetelna monografia profesorów Jana Fijałki i Janusza Indulskiego powinna trafić do rąk tych wszystkich, którym bliskie są sprawy ochrony zdrowia w mieście: lekarzy, studentów AM, organizatorów służby zdrowia odpowiedzialnych za jej kondycję, wreszcie wysokiego szczebla urzędników ministerialnych, którzy z doświadczenia pokoleń winni wyciągać wnioski dla teraźniejszości i przyszłości.

Książka jest historią dokonania zbiorowych i jednostkowych, szkoda więc, że w tym monumentalnym opracowaniu zabrakło indeksu nazwisk i instytucji służby zdrowia.

Andrzej Kempa

Rząd starał się i stara się w dalszym ciągu przychodzić im z pomocą w miarę swych możliwości. Nie należy jednak zapominać, że większość Polaków cierpiła mniej więcej to samo co Żydzi, że kraj jest zrujnowany, że rząd dysponuje bardzo ograniczonymi środkami i że stoi w obliczu konieczności rozwiązania wielu innych, równie ważnych i pilnych problemów”.

Sytuacja Polski w owym czasie była rzeczywistością trudną. Kraj był zniszczony, chociaż postępował proces odbudowy. Ludziom żyło się bardzo ciężko, brakowało żywności, szerzyły się choroby, między innymi gruźlica i choroby weneryczne. Ludzie nie otrzymywali tego, co im się należało. „W Łodzi na przykład – pisze Krystyna Kersten – w lipcu 1945 roku nie wydano na kartki mąki, herbaty, mydła, masła. Przydziały węgla, tytoniu, tłuszczów, mięsa często pozostawały tylko na papierze. W województwie krakowskim w maju zaopatrzenie w mąkę realizowano tylko w 20 procentach, w niektórych powiatach nie wydawano przydziałów nawet na kartki I kategorii. Sytuacja aprowizacyjna pozostawała bardzo ciężka przez cały rok 1945 i pierwsze półrocze 1946. Na przedwojenniu w 1946 r. przeciętnie ilość kalorii na osobę wynosiła 1500-2000, głównie w produktach mącznych. Nierazko w ówczesnych wypowiedziach i korespondencjach padało słowo „głód”, najczęściej w kontekście protestów robotniczych”. 1 czerwca 1946 roku ówczesny premier Edward Osóbka-Morawski wydał rozporządzenie, które zabraniało wytwarzania i sprzedaży 27 gatunków wędlin. Wśród nich były: kiełbasa jałowcowa, krakowska sucha, litewska, wiejska sucha, trzy gatunki salami, polędwica łosiowa.

## IV. Nie tylko Kielce

Włoski ambasador Eugenio Reale był wnikliwym obserwatorem i musiał mieć dobre stosunki w różnych warstwach i grupach polskiego społeczeństwa, bowiem już 5 lipca wysłał do Rzymu raport zatytułowany „Problem żydowski w Polsce”. W piśmie przewodnim do tego raportu powołuje się na wcześniejsze informacje ambasady włoskiej w Warszawie z 12 grudnia 1945 roku i 25 stycznia 1946 roku. Informuje też, że przesyłany raport sporządził sekretarz ambasady. Trudno dziś stwierdzić, czy wysłanie raportu o sytuacji Żydów w Polsce, nazajutrz po kieleckim pogromie, było przypadkową zbieżnością, czy też zamierzonym działaniem, dowodzącym szybkości reakcji włoskich dyplomatów na wydarzenia w Polsce. Nie ulega natomiast żadnej wątpliwości, że „problem żydowski” w Polsce był widoczny na tle społecznych konfliktów i sprzeczności. Interesowała się tym opinia publiczna innych państw.

Eugenio Reale – bo on firmował swoim nazwiskiem dokumenty wysyłane do Rzymu – pisał wówczas:

„Najważniejszy i najbardziej delikatny aspekt problemu żydowskiego w Polsce nie polega na tym, że Żydzi znajdują się w bardzo trudnych warunkach materialnych, lecz na tym, że od pierwszych dni oswobodzenia padają niewstannie ofiarą aktów gwałtu i morderstw, które wtrącają ich w stan zupełnej paniki i doprowadzić mogą do tego, że rząd zostanie całkowicie

## Polska – Watykan 1945-1950

W numerze 20 wydawanego w Rzymie kwartalnika „Znak Czasu” ukazał się artykuł Krzysztofa Krasowskiego pt. „Stosunki polsko-watykańskie po II wojnie światowej”. Panoramą tam przedstawioną sięga rok 1989. Chciałbym skupić się na małym ich wycinku, a mianowicie od zerwania konkordatu w 1945 r. do tzw. porozumienia w 1950 r.

Kościół katolicki w Polsce po 1945 r. jednoznacznie negatywnie odniósł się do wizji komunistycznej Polski. Nawiązywano do tradycji i zasad programowych katolicyzmu II Rzeczypospolitej. Episkopat uznał, iż fundamentem, na którym ma się wznosić Polska powinna być religia katolicka i nauka społeczna Kościoła. Oznaczało to, że Kościół powinien odgrywać istotną rolę w sferze stosunków publicznych, jako najwyższy autorytet moralny. W miarę narastania konfliktów z rządem, coraz otwarciej biskupi polscy protestowali przeciw programowi i metodom sprawowania władzy przez komunistów, przymusowej indoktrynacji społeczeństwa oraz ograniczaniu stanu posiadania i zakresu działalności Kościoła. Biskupi uznali, że komunizm, jako ustrój obcy polskiemu społeczeństwu został siłą narzucony mu przez Armię Czerwoną. Na taką postawę episkopatu duży wpływ wywierał stosunek do władz komunistycznych prymasa Augusta Hlonda, który na audiencji u Piusa XII 30 kwietnia 1945 r. stwierdził, iż kraj znajduje się „Pod okupacją sowiecką”.

W jednej z prywatnych rozmów prymas August Hlond stwierdził: „Rzecz oczywista, rząd będzie chciał naszego uznania, będzie chciał naszych wizerunków kołobitnych. Kościół musiałby w ten sposób zatwierdzić legalność nowej władzy, która w istocie została narzucona przez Moskwę. Naród ma zaufanie do Kościoła. Gdybyśmy poparli rząd, którego naród nie uznał i nie przyjął, stracilibyśmy całe zaufanie u narodu”.

Kardynał August Hlond, prymas Polski, wrócił do kraju 20 lipca 1945 r. i przejął w swe ręce ster spraw Kościoła. Wyposażony w specjalne pełnomocnictwa otrzymane od Piusa XII, mianował 15 sierpnia 1945 r. administratorów

złaskredytowany w oczach opinii publicznej w kraju i za granicą. Ten stan rzeczy trwa już od prawie dwóch lat i nic nie wskazuje, że sytuacja ulegnie szybkiej poprawie. Według kół rządowych liczba zabitych Żydów osiągnęła w 1945 roku liczbę 353 osoby, a w sumie zamordowano ich ponad 600. Według innych źródeł liczba zabitych sięga 2000; jeżeli weźmie się pod uwagę niewielką liczbę Żydów znajdujących się obecnie w Polsce, to nie ulega wątpliwości, że liczba ta jest ogromna. Wskazywałaby ona na to, że w ciągu ostatnich dwóch lat na każdym 100 Żydów ginęło 3,3. Do tej fali morderstw dorzucać należy liczne akty gwałtu o najbardziej różnym charakterze, jak zwykłe napaści, niszczenie domów i sklepów, wzięcie osób itd."

Centralny Komitet Żydów Polskich podawał, że w pierwszym kwartale 1945 roku zginęło 150 Żydów. Od kwietnia do sierpnia 1945 roku – według tych samych źródeł – dokonano 30 napaść na Żydów, w których to napaściach śmierć poniosło 81 osób. W sierpniu 1945 roku nastąpiło nasilenie antysemickich napaści. 11 sierpnia 1945 roku zaatakowano w Krakowie synagogę i domy, w których mieszkali Żydzi.

16 sierpnia 1945 roku Roman Zambrowski na posiedzeniu KC PPR mówił o próbach pogromów podejmowanych w Radomiu, Miechowie, Chrzanowie, Rabce. Z innych źródeł wiadomo, że była też próba zorganizowania pogromu w Rzeszowie.

Kilka dni wcześniej, bo 21 lipca 1945 roku na VII Sesji Krajowej Rady Narodowej przewodniczący Centralnego Komitetu Żydów Polskich Emil Sommerstein mówił o ofiarach, jakie padły podczas pogromów w Przedborzu, Suchedniowie, Żeraniu, Wierzniku, Zabłudowie, Suchowoli, Tarnogrodzie.

Na początku 1946 roku u prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda bawił z wizytą przedstawiciel Żydowskich Zrzeszeń Religijnych, prof. Michał Zylberg. Rozmowa dotyczyła też sytuacji Żydów w Polsce i dokonanych na nich morderstw. Wtedy kardynał August Hlond powiedział:

"Przejmuję mnie one prawdziwym smutkiem. Nie powtarzając już argumentów wynikających z zasad chrześcijańskich, nie ma obecnie w Polsce obiektywnych danych na szerzenie antysemityzmu. To jest prawdziwe szaleństwo tych, którzy ciągle konspirują, siedzą w lasach. Wydaje się im, że robią politykę, że napadając na Żydów zwalczają rząd. Potępiam działalność ich jako katolik i jako Polak".

V. „PULS 50”, dokumenty  
Mord dokonany 4 lipca 1946 roku w Kielcach wstrząsnął sumieniami, rozlał się szeroko echem po świecie. Można powiedzieć, że było to „ukoronowanie” stosunku części Polaków do Żydów. Z tego powodu te haniebne wydarzenia znane są lepiej niż to, co działo się przed nimi i po nich. Ale dopiero ukazanie pogromu kieleckiego w świetle tych wydarzeń nadaje im zupełnie inny wymiar i kontekst. Same wydarzenia kieleckie z 4 lipca 1946 roku były już wielokrotnie opisywane. W niedługim czasie powinna się ukazać książka Bożeny Szaynok poświęcona kieleckiemu pogromowi.  
Andrzej Paczkowski wybrał natomiast ze

zbiorów VI Oddziału Archiwum Akt Nowych (dawnie Archiwum KC PZPR) dokumenty, które zawierają relacje i sprawozdania wystaników KC PPR, którzy nie tylko organizowali manifestacje potępiające mord w Kielcach, ale też skrętnie notowali nastroje, opinie i stosunek wiecujących do „problemu żydowskiego”. Oto fragmenty tych reakcji opublikowanych w majowo-czerwcowym numerze „PULS 50”.

Kalisz  
Relacja Czesława Olejniczaka. (W tej i pozostałych zachowujemy – za „Pulsem 50” zresztą – oryginalną pisownię).

„(...) Zgodnie z naszym wywiadem i ich światłem sytuacja przedstawia się w Kaliszu następująco. Żydów przebywa w Kaliszu około 500 nie zamieszkuje oni zwarcie lecz są rozproszeni po całym mieście, zachowują się poprawnie i spokojnie. W dzień pogromu w Kielcach rozpuszczono pogłoskę, iż jakiś chłopiec zagnął, którego potem znaleziono żywego w Ostrowcu Wielkopolskim. Chłopca tego miał rzekomo zamordować jakiś ukraińiec i mięso miał wywieźć czy też przerobić na kielbasy. Przy jednej z ulic zaczęły się gromadzić tłumy ludzi, względnie przechodzić tłumnie tam i z

niście – podeszła do dyrektora Chodkiewicza, złapała go za kłapy marynarki i zaczęła wykrzykiwać głosem histeryczki” „gadacie tylko o polityce, broniacie Żydów a o nędzy kolejarzy nie mówicie, jak ja mam przeżyć za 900 zł miesięcznie skoro metr kartofli kosztuje 900 zł nawet na sól mi nie wystarcza itp itp.” Podobno się to zebraniem i zaczęli klaskać i gwizdać. (...) Zapytywano o granice wschodnie. Padaty okrzyki, że „Wilno i Lwów muszą być nasze dla czego przyjaciele (Sowiety) nie opuszczają nas”. „W Polsce jeżdżą kacapi czołgami i strażą nas karabinami”, „To taka wolność”, „Dla czego trzyma się Polaków po więzieniach, wszystkie koszary zapchane są aresztowanymi”, „Żydzi na czele UB”, itd. itd. „Chcemy demokracji ale bez Żydów”. (...) Nad zebraniem panowaliśmy, lecz z wybitnie wrogiego nastroju wynikało, że rezolucja przygotowana nie przejdzie i wolalem wcale jej nie czytać. Po skończonym wiecu grupy robotników komentowały po swojemu zebranie i słyszałem powiedzenie: „żydowskie wojtki, psia ich mać”.

Łódź.  
Relacja nie podpisana. Do Łodzi przyjechali

## Nie tylko Kielce

powrotem. Pogłoski stawały się coraz fantastyczniejsze mianowicie, że tych chłopców było 4, 8, a nawet 24. Jedna nieujęta i niesprawdzona kobieta opowiadała, że widziała 14 główek dziecięcych i że mięso ukraińiec wzgl. sowioci wywieźli na kielbasy a krew piją żydzi. Dzięki spokojnej postawie tłumy i dzięki perswazji statecznych obywateli do ekscyzos nie doszło. Jednakże zaczęto wymyślać na żydów pojawiły się napisy na murach antysemickiej treści. Zdarzały się wypadki obrzucania dzieci żydowskich przez dzieci polskie kamyczkami w parku. Następnie puszczone pogłoskę, iż całą ulicę Łódzką będą opróżniać z Polaków a na ich miejsce przyjdą tysiące żydów”. (...)

Wiec kolejarzy w Dęblinie.  
Relacja Stefana Tomaszewskiego.  
„(...) Wiec przygotowany był dobrze. Obecnych 1500 osób zebranych na wielkiej sali działu mechanicznego. Robotnicy byli powiadomieni o wiecu telegraficznie i wiedzieli, że na terenie stacji Dęblin są ślady organizacji PPS a PPR nie ma wcale. Przeważa tu całkowicie NSZ.

Zebrań trwały 2 godziny i miało przebieg bardzo burzliwy. (...) Podczas przemówienia padały okrzyki: „precz z Żydami”, „przyjechali bronić Żydów, hańba”, „Żydzi zamordowali 13-ro dzieci polskich a oni (to znaczy my) przyjechali ich bronić”, „Bierut nie odważy się ich skazać na śmierć”. Okrzyki takie były gorąco oklaskiwane przez większość zebranych. W pewnej chwili jedna z kobiet – emerytka po masz-

Doliński, Domagała, Krych i Fira. Przebywali w Łodzi od 11.07. do 13.07. 1946 roku.

„(...) W czwartek 11 lipca był strajk protestacyjny w sprawie skazanych w wyroku kieleckim na terenie Niciarni, Scheiblera i Grohmana (Nowa Tkálnia i Księży Młyn). Po wybuchu protestu na Niciarni sekretarka koła PPR tow. Sikorska przeciwstawiła się prowodyrom strajku, na skutek czego została pobita przez kilka robotnic z Niciarni. Trzeba stwierdzić, że nikt z towarzyszy partyjnych nie stanął w obronie tow. Sikorskiej. Strajk w Niciarni po upływie 1 godz. został zlikwidowany i robotnicy przystąpili do pracy. Trzeba dodać, że 8 lipca na terenie Niciarni została przyjęta rezolucja potępiająca zbrodnię w Kielcach. Po trzech dniach ta sama załoga Niciarni stanęła z protestem przeciwko wyrokowi w procesie kieleckim.

Tego samego dnia był strajk u Scheiblera, gdzie strajkowały obie zmiany: 1-sza pół godziny, a 11-ga 45 minut. Tutaj wykorzystano wiadomość o przyjęciu rezolucji przeciw pogromowi na terenie Scheiblera w dniu 10.7.46 r., która faktycznie została przyjęta na terenie tylko jednego oddziału, a nie całych zakładów, jak to mylnie zostało zamieszczone w „Głosie Robotniczym”.

Dnia 12.7 na terenie Łodzi miały miejsce strajki protestacyjne w następujących zakładach: Scheiblera (Księży Młyn i przedział cienka), Dietzel, szwalnia na ul. Dowborczyków, Dietzel ul. Wólczńska 243, Szwalnia wojskowa na ul. Legionów, Buhle (tkálnia),

Cimerman, Kinderman – 11-ga zmiana, Warta, Tempo „Rasik”.

Dnia 13.7 miały miejsce następujące strajki: 1) Wejrach – fabryka wstążek, 2) Hofnichter, 3) Gampe i Albrecht, 4) Gutman.

Dnia 12.7 w fabryce Dietzla na ul. Wólczarskiej przyjęto telefon rzekomo z Kielc, podający, że na terenie Kielc strajkują wszystkie fabryki i nawołujący do akcji na terenie Łodzi. (...)

Sytuacja w Łodzi jest poważna. Świadczy o tym nastrój wśród strajkujących i szybkie przeliczenie się strajków z fabryki na fabrykę, agresywność strajkujących kobiet na wszystkich fabrykach, które stawały z pazurami do oczu i kłóciły się zęb za zęb. Na salach były rzucone hasła odwetu i groźby z chwilą wykonania wyroku. Porównując szybkość procesu kieleckiego z procesem Grajsera, który jeszcze żyje, chociaż tyle milionów ofiar na nim ciąży, robotnicy strajkujący posługują się następującymi antysemickimi argumentami: ciężarna Żydówka otrzymuje 60 tys. zł a ja co? U Scheiblera robotnicy: dlaczego przy warsztatach fabrycznych nie pracują Żydzi? Polską rządzą Żydzi.

Żydzi łódzcy twierdzą, że w Łodzi istnieje nastrój pogromowy. W tramwaju rozsiewane są pogłoski, że na Batutach Żydzi zamordowali dziecko polskie. (...)

Radom.  
Sprawozdanie zbiorcze z województwa kieleckiego.

„(...) Np. w browarze w Radomiu robotnicy przeciwstawili się rezolucji antypogromowej. Również w Spółdzielni i Dyrekcji Lasów Państwowych sprzeciwiono się również rezolucji potępiającej zbrodnię kielecką. (...)

W Radomiu część kolejarzy przeciwstawiła się rezolucji potępiającej pogrom. Najmniej powodów do antysemityzmu mają chłopcy, to też ich antysemityzm jest najłagodniejszy. (...)

Antysemityzm przeniknął do szeregów partyjnych, do aktywu dołowego a nawet średniego. (...)

... na wiecu w Ostrowcu tow. Kosior Józef (PPR) występuje z przemówieniem przeciw żydom: „co to jest, my tu harujemy jak konie, a żydzi w Ostrowcu żyją sobie jak u Pana Boga za piecem, kupują masło i kury, gdzie byli, gdy walczyliśmy w partyzance?” Tak mówił towarzysz, który przeszedł szkołę partyjną wojewódzką i centralną. (...)

VI. Jeszcze raz opinia Eugenio Reale  
„Wydaje się, że akty wulgarnie dokonywane na Żydach nie wchodzi w skład jakiegoś szerokiego planu politycznego, opracowanego przez reakcję, lecz są wynikiem ogólnego nieładu politycznego, społecznego i gospodarczego, w jakim znalazła się Polska po wojnie. Zbrodni popełnianych na Żydach nie można więc przypisywać w całości albo reakcji, albo antysemityzmu, lecz raczej wspólnie obu tym przyczynom, do których dochodzą inne, jak na przykład ogólne rozpowszechnienie się przestępczości.”

Opracował:

Benedykt Pazik

apostolskich na Ziemiach Zachodnich. Był to dla władz ważny krok, rokujący dobre ułożenie stosunków z Kościołem na przyszłość. Prymas nie zmienił jednak swojego stanowiska, odrzucając myśl „dogadania” się z komunistami. W liście pasterskim na 950-lecie męczeńskiej śmierci św. Wojciecha pisał:

„Nie wolno nam się uchylać od rozprawy z pogaństwem. Trzeba mu się przeciwstawić. Nie wolno słabością i obojętną postawą utawiać pogaństwu szerszenia się po dziedziectwie Mieszka i Bolesława. Trzeba strzec chrześcijańskiego znamienia tej ziemi. W niczym nie wolno robić ustępstw pogaństwu i w żadnym wypadku w walce z nim nie wolno dawać za wygraną. ... Nie może być pojednania między chrześcijaństwem a bezbożnym niedowiarstwem”.

Bezkompromisowość ta wynikała z oceny, iż po hitleryzmie komunizm jest kolejnym systemem totalitarnym, chcącym zlikwidować chrześcijaństwo.

Kardynał Stefan Wyszyński tak mówił o prymacie Auguste Hlondzie: – „Wobec władz państwowych był grzeczny, ale nieustępliwy. Nie wchodził w bliższe rozmowy i pertraktacje. Nie wierzył w ich celowość i skuteczność”.

Jest faktem, iż do swej śmierci w 1948 r. nie zdecydował się na osobistą rozmowę z Bolesławem Bierutem.

Krytykę doktryny komunistycznej, najpełniej przeprowadził Pius XI w encyklice „Divini Redemptoris” z 19.03.1937 r. Jego następca Pius XII nie widział możliwości pójścia na ustępstwa, czy kompromisy, a zwłaszcza celowości poszukiwania jakiegokolwiek koegzystencji. Ten antykomunizm głowy Kościoła katolickiego przyniósł w ostateczności wiele cierpień Kościołom lokalnym w państwach komunistycznych. Był on skrętnie wykorzystywany, jako argument propagandowy, służący często do przedstawiania miejscowego episkopatu, jako wrogów ludu i demokracji. Wynika z tego, iż postulat wznowienia w 1945 r. stosunków dyplomatycznych Polski i Watykanu był nierealny.

Watykan nie uznał oficjalnie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, utrzymując kontakty z emigracyjnym rządem londyńskim. 12 września 1945 r. Rada Ministrów Rządu Jedności Narodowej jednostronnie zerwała konordat ze Stolicą Apostolską i nie przyjęła do wiadomości nominacji administratorów apo-

stolskich na Ziemiach Odzyskanych. Stworzyło to dla Kościoła w Polsce nową sytuację prawną. Wypowiedzenie konkordatu oznaczało uchylenie ponad 70 aktów prawnych różnego rzędu, w wyniku czego Kościół został pozbawiony uprzywilejowanego wobec innych wyznania statusu prawnego. Uchwała z 12.09.1945 r. uwalniała rząd z zobowiązań konkordatowych i pozwalała określić na zupełnie nowych zasadach stosunki z Kościołem, zgodnie z modelem rozdziału Kościoła od państwa. Z punktu widzenia norm prawa międzynarodowego konkordat, jako traktat międzynarodowy, powinien być uchylony na drodze ustawy opublikowanej w organie promulgacyjnym, a sama decyzja notyfikowana Stolicy Apostolskiej. Tymczasem zerwanie nastąpiło w drodze uchwały Rady Ministrów, przyjętej jedynie do aproba-

Rząd podjął inicjatywę episkopatu. Dla wykorzystania autorytetu Kościoła konieczne były zapewnienia, że władze kierują się dobrą wolą i chcą mimo zerwania konkordatu uregulować całokształt spraw kościelnych. Bolesław Bierut w wywiadzie udzielonym w listopadzie 1946 r. Ksaweremu Pruszyńskiemu mówił:

„Nigdy nie uchylamy się od rozmów w sprawie zawarcia nowego konkordatu. Zawarcie konkordatu wymaga, rzecz jasna, nawiązania stosunków dyplomatycznych. Konkordat przyczyniłby się niewątpliwie do uporządkowania wielu spraw w Polsce, a w szczególności do prawnego uregulowania zagadnień powstałych z włączenia w obszar Państwa Polskiego ziem po Odry i Nysie”.

Rządowi bardzo zależało na uznaniu go przez Stolicę Apostolską – co podniosłoby jego

## Czerwone i czarne

prestiż na arenie międzynarodowej. Potwierdziły to pewne kroki podjęte przez rząd w styczniu 1947 r. a związane z tzw. misją Pruszyńskiego.

Ksawery Pruszyński, jako minister pełnomocny, udał się do Rzymu i uzyskał audiencję u sekretarza stanu do spraw „nadzwyczajnych” Domenico Tardiniego. Był to pierwszy kontakt po 1945 r. wysokiego urzędnika Kurii Rzymskiej z przedstawicielem rządu komunistycznego. Można sądzić, że wstępnie ustalono przyjazd do Polski wizytatora apostolskiego. Episkopat z dużą rezerwą obserwował zabiegi dyplomatyczne rządu, krytykując taktykę władz zmierzającą do zawarcia porozumienia z Watykanem bez udziału polskich biskupów.

Prymas August Hlond w przemówieniu na posiedzeniu Komisji Głównej Episkopatu w 1947 r. stwierdził:

– „Rządowi zależy bardzo na tym, by znaleźć jakiś sposób wyjścia i byłby bardzo zadowolony, gdyby do Polski został wysłany bodaj jakiś wizytator apostolski, nawet bez charakteru dyplomatycznego. Rząd chciałby za wszelką cenę doprowadzić do jakiegoś porozumienia z Watykanem bez pośrednictwa episkopatu, a je-

szcze bardziej ponad głowami biskupów. Nie orientują się czynniki rządowe, że sfery watykańskie są doskonale poinformowane, co się dzieje w Polsce i jakie są postulaty episkopatu”.

Powodem dalszego pogorszenia stosunków stał się list Piusa XII do biskupów niemieckich z 1.03.1948 r. oparty na dostarczonych przez nich materiałach, tendencyjnie przedstawiających przesiedlenie do Niemiec ludności z Ziemi Zachodnich. Wywołał ostrą kampanię przeciw Watykanowi i oświadczenie Piusowi XII. W ponad rok później Święte Oficjum wydało dekret zakazujący katolikom pod karą ekskomunikacji: przynależenia do partii mającej charakter antychrześcijański. Akt ten spowodował wyraźny zwrot rządu wobec Kościoła. Uznając za zupełnie nierealną możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych z Watykanem, rząd – z inicjatywy biskupów – zdecydował się na rozmowy z episkopatem w celu określenia zasad współpracy.

Na pierwszej po śmierci prymasa Augusta Hlonda konferencji episkopatu w Krakowie 16.11.1948 r., pod przewodnictwem kardynała Adama Sapiechy, postanowiono wystąpić do rządu z propozycją powołania Komisji Mieszanej, składającej się z trzech przedstawicieli każdej ze stron. Rozmowy zostały uwięzione podpisaniem 14.04.1950 r. porozumienia między rządem a episkopatem.

Episkopat zobowiązał się zwać duchowieństwo, aby nauczało wiernych poszanowania władzy państwowej oraz przeciwstawiało się wrogiej Polsce działalności kleru niemieckiego. Istotne znaczenie posiadał zapis stwierdzający, iż papież jest najwyższym autorytetem w sprawach wiary i jurysdykcji kościelnej. W zamian za to Kościół uzyskał gwarancje swobodnego nauczania religii, prowadzenia szkół katolickich, dalszej działalności wydawniczej, prasy, stowarzyszeń i zakonów. Porozumienie, wbrew oczekiwaniom, od samego początku nie było przestrzegane. Polska wchodziła w okres ery stalinowskiej, w którym „Porozumienie” wykorzystywane było przez rząd, jako narzędzie uzależnienia Kościoła. Musiało to wywołać ostrą reakcję episkopatu, który broniąc tożsamości katolicyzmu, zdecydowanie odrzucił idee Kościoła państwowego, nie utrzymując go faktycznie żadnych więzi ze Stolicą Apostolską.

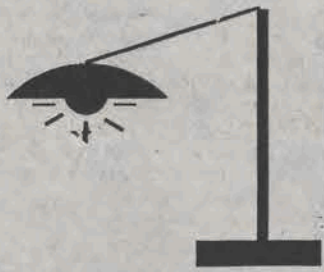
Opracował:

Grzegorz Kabasiński

### UWAGA KIEROWNICY I WŁAŚCICIELE SKLEPÓW Z ARTYKUŁAMI ELEKTRYCZNYMI

W naszym magazynie posiadamy:

- \* żarówki E-27, samochodowe, świecówki
- \* świetlówki, lampy sodowe, rtęciowe
- \* druty nawojowe, przewody instalacyjne, teletechniczne, antenowe, samochodowe
- \* osprzęt siłowy i sterowniczy, wyłączniki aparaturowe
- \* tablice licznikowe, rozdzielcze i osprzęt
- \* oprawy mieszkaniowe, żyrandole, kinkiety, lampki biurkowe
- \* oprawy świetlówkowe, sodowe, rtęciowe, przemysłowe
- \* stateczniki, zapłoniki



Nasza zasada to niska stopa zysku a wysoki obrót.

Zapraszamy do nas:

**Hurtownia Artykułów Elektrycznych  
JUST-AMICO**

Łódź, ul. Duńska 1, tel. 52-12-02

**BĘDZIE LEPIEJ...**

**Ogłaszaj się w „Odgłosach”**

**HURTOWNIA EXPORT-IMPORT**



Łódź  
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,  
81-50-93

**POLECA:**

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Bizuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*

*Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji*

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

**Życzymy  
udanych zakupów**

### STAWIAMY NA JAKOŚĆ

Mikrokomputery Pc 286, 386, 486, dyskietki HD

Dla koneserów oryginalne płyty 386 INTEL'a  
ceny promocyjne

Drukarki SEIKOSHA, STAR, HEWLETT PACKARD

Instalacja sieci NOVELL. Oprogramowanie

Listwy przeciwzakłóceń 10 Amp, 5 gniazd – 250.000,-zł  
Świadczymy kwartalne konserwacje sprzętu minikomputerowego.

P.Z. „RODAN”, ŁÓDŹ, ul. Szparagowa 6/8, tel. 52-40-68,  
tel. i fax 52-10-07 tlx 886103 rodan pl.

To nie okazja  
To stałe działanie  
Tylko



**BUDOHURT S.A.**

Łódzka Centrala Materiałów Budowlanych  
„BUDO-HURT” S.A. w Łodzi

w sklepie przy ul. Gdańskiej 140  
i Hurtowni przy ul. Tuwima 97

oferuje bogaty wybór tanich  
i jakościowo najlepszych materiałów  
budowlanych i instalacyjnych, m.in.:

rewelacyjny wybór glazury, zlewozmywaki  
z blachy nierdzewnej.

Przyjedź, sprawdź a wyjedziesz zadowolony.  
Zakupy hurtowe to szansa na negocjacje cenowe.



**Zakłady Przemysłu  
Pończosznego  
„SANDRA”**

Aleksandrów Łódzki  
ul. Piotrkowska 10/12  
tel. 12-10-30, 12-17-24,  
52-22-17

**oferują do sprzedaży:**

- w szerokiej gamie wzorniczo-kolorystycznej
- skarpety ● podkolanówki ● rajstopy
  - z bawełny, anilany, elastilu.

**ZAPRASZAMY do zakupów w sieci własnej:**

ALEKSANDRÓW ul. Piotrkowska 10/12  
ul. Wojska Polskiego 64, tel. 12-17-27  
KUTNO, al. ZHP 8  
KOŚCIAN, ul. Wrocławska 3a  
POGORZELICA k. Trzebiatowa woj. szczecińskie  
– OWS „SANDRA”

**POZNAŃ, ul. Piątkowska 23 tel. 23-87-23  
TORUŃ, ul. Fałata 35/37**

**POSZUKUJEMY:**

- \* lokali na sklepy firmowe o pow. do 80 m<sup>2</sup>
- \* akwizytorów

## SOBOTA

27 lipca

## PROGRAM I

7.00 W sobotę rano – magazyn informacyjno-wydawniczy  
7.45 Tydzień na działce  
8.15 Matka – reportaż z Pogorzela k. Sewjń  
8.35 Ziarno – program red. katolickiej dla dzieci i rodziców  
9.00 Wiadomości poranne  
9.10 Teleferie  
10.25 Na zdrowie  
10.45 Kaliber 91  
11.10 Telewizyjny koncert życzeń  
11.40 Jak się wam podoba  
12.25 Życ – magazyn ekologiczny  
12.55 U siebie – magazyn mniejszości narodowych  
13.25 Wielki sport  
14.55 Siódemka w Jedyńce  
15.50 Opoka – program redakcji katolickiej  
16.05 Zielony karnawał – turniej tańca towarzyskiego cz. 2  
16.30 Skarbiec  
17.15 Teleexpress  
17.30 Tele-audio-video  
17.55 Studio sport  
18.25 Butik  
18.55 Z kamerą wśród zwierząt  
19.15 Dobranoc  
19.30 Wiadomości  
20.05 Huston – legenda Teksasu – cz. 2 ost. – film fabularny  
21.30 Sportowa sobota  
22.00 Wiadomości wieczorne  
22.20 Rod Stewart – live  
23.55 Frederick Forsyth przedstawia – Śledztwo na wyspie Sunshine – film fabularny produkcji angielsko-niemiecko-włoskiej (93 min. rok prod. 1990)

## PROGRAM II

10.15 Magazyn telewizji śniadaniowej  
10.40 Bolesne dojrzewanie Adriana Mole'a (1) – serial  
11.05 Tacy sami  
11.25 Dookoła świata  
11.55 Z wiatrem i pod wiatr  
12.25 Benefis Jana Kobuszewskiego  
13.25 Zwierzęta świata  
13.55 Chopin w rzeźbach Renesa  
14.25 Ze wszystkich stron  
14.55 Program dnia  
15.00 Zezem – serial  
15.30 Santa Barbara  
17.00 Potomkowie Jana i Cecylii  
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Raz dwa trzy – Landszafty muzyczne  
19.00 Dziewczyna miesiąca  
20.00 Sergiusz Prokofiew  
21.00 Hale i Pace  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Bez znieczulenia  
22.00 Akatyst ku czci Bogurodzicy  
22.05 Gafa za gafą – komedia

## NIEDZIELA

28 lipca

## PROGRAM I

7.30 Kraj za miastem  
7.55 Po gospodarstwu  
8.10 Od niedzieli do niedzieli  
8.55 Program dnia  
9.00 Teleferie: Bliźniacy – film prod. czechosłowackiej  
10.30 Przygody roślin (7) – film dok. prod. franc.  
11.00 Notowania, czyli co się optaca rolnikowi  
11.25 Ściśle jawne – wojskowy program publicystyczny  
11.50 Telewizyjny koncert życzeń  
12.20 Circom Regional prezentuje  
12.50 Magazyn Morze  
13.10 Magazyn komediantów  
13.50 Agromarket  
14.20 Pieprz i wanilia  
15.00 Telewizjer  
15.40 W starym kinie: Malowana zasłona  
17.15 Teleexpress  
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Pierre Chesnet „Witaj Max, czyli renowacja”, reż. Jerzy Z. Nowak, wyk.: Tomasz Lulek, Jadwiga Skupnik, Łucja Buryńska, Bogusław Danielewski, Teresa Sawicka

19.00 Wieczorynka  
19.30 Wiadomości  
20.05 Kim jest ten chłopak? – serial produkcji francuskiej, wyk.: Marlene Jobert, Ugo Tognazzi, Ingrid Held i inni  
21.05 7 dni – świat  
21.35 Sportowa niedziela  
22.10 Wiadomości wieczorne

## PROGRAM II

10.00 CNN  
10.10 Jutro poniedziałek  
10.30 Program lokalny  
11.00 Wybrańcy Melpomeny  
11.30 Tryptyk  
11.50 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie  
12.30 Express Dimanche  
13.10 100 pytań do...  
13.50 Program muzyczny  
14.10 Przyłbice i kaptury  
15.10 Studio sport  
15.30 Muzyczna Antena 5  
16.00 Podróże w czasie i przestrzeni  
17.00 Program dnia  
17.05 Studio sport  
17.30 Bliżej świata  
18.30 Uśmiech z Galicji  
19.00 Wydarzenie tygodnia  
19.30 Galeria Dwójki  
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego  
21.00 Studio Sport  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Eden utracony (2)  
22.45 Mielniemy wtędy po 16 lat

## PONIEDZIAŁEK

29 lipca

## PROGRAM I

16.55 Aktualności telegazety  
17.00 Studio lato  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio lato  
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów – serial produkcji niemieckiej  
18.25 Studio lato  
19.15 Dobranoc – „Przygody Bolka i Lolka”  
19.30 Wiadomości  
20.05 Teatr Telewizji – spektakl na bis – Somerset Maugham „Jej mężowie”, reż. Barbara Borys-Damięcka, wyk.: Elżbieta Starostecka, Mirosława Dubrawska, Krzysztof Wakułiński, Wiktor Zborowski, Jerzy Kamas  
21.40 Krystyna, Małgorzata, Piotr, Wojciech – program rozrywkowy  
22.15 Wiadomości wieczorne  
22.35 Socjalismo o muerte – reportaż o Kubie  
23.25 Dziedzictwo Guldenburgów – serial produkcji niemieckiej  
23.50 BBC – World Service

## PROGRAM II

16.45 Powitanie  
17.00 Zwierzęta wokół nas – Podaj łapę  
17.30 Cudowne lata (23) – Jak spędziłem wakacje – serial USA  
18.00 Program lokalny  
18.30 Przegląd Kronik Filmowych  
19.00 Ojczyzna-polszczyzna – Życie wyrazów  
19.15 Za kierownicą  
19.25 Zapraszamy do Dwójki  
19.30 W zaczarowanym parku (1) – Żart muzyczny  
20.00 Mój świat  
20.30 Szkoła cudów – Jurij Longo – Niekonwencjonalne metody leczenia  
21.15 Maraton trzeźwości  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Sport  
21.55 Wielki Churamnita (1) – serial prod. ZSRR, reż. Eldar Kulijew  
22.55 Studio im. Andrzeja Munka „Panienki”, reż. Jarosław Kusza

## WTOREK

30 lipca

## PROGRAM I

9.10 Kino teleferii: „Przygody misia Ruxpina” – serial  
10.00 To się może przydać  
10.25 Matyas Sandor (5) – serial produkcji węgiersko-francuskiej  
11.20 Aktualności telegazety  
17.00 Studio lato  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio sport

18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (12) – serial  
18.25 Studio lato  
18.55 W Sejmie i Senacie  
19.15 Dobranoc  
19.30 Wiadomości  
19.55 Luciano Pavarotti w Hyde Parku (transmisja)  
21.55 Telemuzak – magazyn muzyki rozrywkowej  
22.35 Wiadomości wieczorne  
22.55 Dziedzictwo Guldenburgów (12) – serial  
23.20 BBC – World Service

## PROGRAM II

8.10 Język angielski (15)  
8.40 Santa Barbara – serial  
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej  
10.00 CNN  
16.45 Powitanie  
17.00 Moda i muzyka  
17.30 Cudowne lata (24) – Letnia pieśń – serial  
18.00 Program lokalny  
18.30 Modlitwa wieczorna  
18.50 Vadecum teatromana  
19.30 Mój życiorys kończył się i zaczynał wiele razy  
20.00 XII Przegląd Piosenki Aktorskiej – Wrocław'91  
21.00 Reportaż  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Sport  
21.55 Sherlock Holmes – W Waszyngtonie – film fabularny produkcji angielskiej (144 r. 71 min.) reż. Roy William Neill  
23.05 CNN

## ŚRODA

31 lipca

## PROGRAM I

9.10 Teleferie  
9.35 Kino teleferii: Safari – serial produkcji czechosłowackiej  
10.00 Przyjemne z pożytecznym  
10.25 Dynastia – serial produkcji USA  
11.15 Aktualności telegazety  
17.00 Studio lato  
17.25 Teleexpress  
17.30 Studio lato  
18.00 Murphy Brown – serial produkcji USA  
18.30 Studio lato  
19.15 Dobranoc  
19.30 Wiadomości  
20.05 Dynastia – serial produkcji USA  
20.55 Rozmowa z rzecznikiem praw obywatelskich  
21.10 Kabaret Starszych Panów – Ostatni naiwni  
22.20 Wiadomości wieczorne  
22.40 Rozmowy z Nikodemem (Po wizycie Ojca świętego)  
23.25 Murphy Brown (1) – serial produkcji USA  
23.55 BBC – World Service

## PROGRAM II

8.10 Język angielski (16)  
8.40 W labiryncie – serial tp  
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej  
10.00 CNN  
16.45 Powitanie  
17.00 Ekostres  
17.30 Cudowne lata (25)  
18.00 Program lokalny  
18.30 M.A.S.H. – serial produkcji USA  
19.00 Rebusy – teleturniej Wojciecha Pijanowskiego  
19.30 W zaczarowanym parku (2) – Żart muzyczny  
20.00 O studiu filmowym im. K. Irzykowskiego  
20.40 Henryk Debich proponuje  
20.55 Punkt widzenia – program ekologiczny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Bilans  
22.00 Dziewczyna z Mazur (5) – serial tp  
22.55 Sport  
23.05 997 – kronika kryminalna  
00.05 CNN

## CZWARTEK

1 sierpnia

## PROGRAM I

9.10 Kino teleferii: Janka – serial prod. polsko-niemieckiej

10.10 Sto lat – Magazyn ubezpieczeń społecznych  
10.20 Giełda pracy – giełda szans  
10.40 Van der Valk (4 ost.) serial kryminalny prod. angielskiej  
12.25 Aktualności telegazety  
17.00 Studio lato  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio lato  
18.00 Murphy Brown  
18.30 Studio lato  
18.50 Magazyn katolicki  
19.15 Dobranoc  
19.30 Wiadomości  
20.05 Van der Valk (4 ost.)  
21.50 Goście Andrzeja Żarębskiego  
22.10 Pegaz  
22.40 Wiadomości wieczorne  
23.00 Sprawa dla reportera  
23.45 Murphy Brown (2) – serial produkcji USA  
00.15 BBC – World Service

## PROGRAM II

7.55 Powitanie  
8.00 CNN  
08.10 Język angielski (17)  
08.40 W labiryncie – serial tp  
09.35 Magazyn telewizji śniadaniowej  
10.00 CNN  
16.45 Powitanie  
17.00 Giełda – magazyn kupców i przemysłowców  
17.30 Cudowne lata (26) – Serce matki – serial produkcji USA  
18.00 Program lokalny  
18.30 Pod wspólnym dachem (5) – Wielobranzowiec – serial prod. francuskiej  
19.00 1 sierpnia – film dokumentalny Aliny Czerniakowskiej  
19.30 Henryk Stażewski – film dokumentalny  
20.00 Studio sport  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Sport  
21.55 100 lat Carnegie Hall w Nowym Jorku (2)  
23.50 CNN

## PIĄTEK

2 sierpnia

## PROGRAM I

8.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości  
9.00 Wiadomości poranne  
9.10 Teleferie  
9.40 Kino teleferii: Nowe przygody He-mana – serial  
10.00 Szkoła dla rodziców  
10.25 Janosik (5) – Tańcowali zbójnicy – serial tp  
11.15 Aktualności telegazety  
17.00 Studio lato  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio lato  
18.35 Murphy Brown (3) – serial produkcji USA  
19.00 Od Kapitału do kapitału  
19.15 Dobranoc  
19.30 Wiadomości  
20.05 Miasteczko Twin Peaks – serial produkcji USA  
20.55 Zespół publicystyki Zapis przedstawia...  
21.35 Siódemka w Jedyńce. Megamix  
22.25 Wiadomości wieczorne  
22.45 Murphy Brown (3) – serial produkcji USA  
23.10 BBC  
23.40 Noc z gwiazdami – program rozrywkowy ze Szczecina

## PROGRAM II

7.55 Powitanie  
8.00 CNN  
8.10 Język angielski (18)  
8.40 W labiryncie – serial tp  
9.35 Magazyn telewizji śniadaniowej  
10.00 CNN  
10.45 Powitanie  
17.00 Krajobraz po wojnie torfowej – reportaż  
17.30 Cudowne lata (27) – Wayne za kółkiem – serial produkcji USA  
18.00 – 21.30 Program regionalny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Sport  
21.55 Nie zawsze musi być kawior (4) – Nazywam się Mabel – serial produkcji niemieckiej  
22.55 Nareszcie – magazyn  
01.55 CNN

**Restauracja „ŚWIETLIK”**  
Łódź, ul. Wspólna 6 tel. 34-33-21  
zaprasza na:  
● bankiety  
● przyjęcia weselne  
● obiady abonamentowe

**DOMATOR** „DOMATOR” ZAPRASZA

## DO SWOICH SKLEPÓW:

- Najtańszy sprzęt audio-video, fotograficzny, komputery, CB itp.

Łódź,

ul. Piotrkowska 102a, tel. 33-70-14

ul. Ćwiklińskiej 22, tel. 48-10-31

ul. Rzgowska 12, tel. 84-23-44

- Najniższe ceny PFAFF-a

– hafciarka 1475 CD – 17.500.000 zł

– overlock 3 nitk. – 5.500.000 zł

– overlock 5 nitk. – 8.800.000 zł

– elektronic 6000 – 16.700.000 zł

Łódź, ul. Piotrkowska 102a,

telefon 33-70-14

- HURT, Biuro Handlowe

Łódź, ul. Piotrkowska 120,

telefon 32-58-86

**AUTO SERWIS**  
**MAREDI MB sc.**

zaprasza do swoich zakładów

Zakład nr 1

Łódź, ul. Strykowska 33/43

tel. 55-56-55

- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne

Zakład nr 2

Łódź, ul. Wieniawskiego 70a

tel. 48-73-84

- PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p za gotówkę i na raty
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów
- Komis i wypożyczalnia samochodów
- Holowanie

# CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

## Grzesiek na prezydenta!

**S** amodzielnie ucę się angielskiego, dlatego też od czasu do czasu kupuję międzynarodowe wydanie „Time’a”. Tygodnik ten w tzw. wersji atlantyckiej jest szeroko kolportowany w całej Europie łącznie z byłymi demoludami, przede wszystkim jednak adresowanemu jest do wolnego świata, a angielski, jako język biznesu zapewnia mu popularność wśród wszystkich, dla których robienie interesów jest profesją. Toteż ucieszyło mnie, gdy w części ogłoszeniowej (Special advertising section) zobaczyłem wiele wkładek poświęconych Polsce. Wprawdzie mina mi nieco zrzęda, gdy przekonalem się, że sądząc po anonsach stoimy głównie na LOT-cie (powinno się to chyba inaczej zapisać, ale w wersji poprawnej będzie niezrozumiałe) oraz na Animeksie. Istniejemy gospodarczo także przez Metalexport, który ma swoje przedstawicielstwa w Zjednoczonym Królestwie, Włoszech, Kanadzie, Niemczech, USA, przez Kolmex (zajmujący się eksportem i importem elektrycznych i dieslowych lokomotyw), przez Elektrim jako „idealnego partnera do biznesu” oraz Państwowy Bank Kredytowy, który pragnie kolaborować z zagranicznymi bankami i instytucjami finansowymi. To by było na tyle jak mawia profesor Stanisławski.

W części analitycznej ogłoszenia (na ośmiu stronach „Time’a”) omówione są trendy rozwojowe i główne kierunki ekspansji gospodarczej do roku 2000. To dobrze, że stawiamy na turystykę (Łódź, obok Poznania i Warszawy wymieniona została jako siedziba ważnego muzeum gromadzącego reprezentatywne dzie-

ła polskich malarzy i rzeźbiarzy). Nieco bardziej problematycznie przedstawiają się preferencje inwestycyjne, i chociaż Łódź na specjalnej mapce zaprezentowana została jako ośrodek przemysłu spożywczego, chemicznego i elektronicznego, zadrżało mi nieco serce, kiedy spostrzegłem, że włókiennictwo na owym wykresie zostało w ogóle pominięte. Oznacza to przecież wyrok śmierci na dogorywający zresztą łódzki przemysł.

Ciekaw jestem co na ten temat ma do powiedzenia prof. Janusz Szosland, prezes Stowarzyszenia Włókienników Polskich, który zresztą ostatnio jakoś skaperował dygnitarzy miejskich na swoich agentów. Gdyby taki człowiek stanął na czele miasta, jego sprawy potoczyłyby się lepiej i amerykański biznes jadłby nam z ręki. Wtedy też zapewne inaczej wyglądałoby płatne ogłoszenie w „Time”. A na razie wypędziliśmy Amerykanów do Płocka i za psi pieniąż sprzedaliśmy „Bistonę” Włochom. Wiadomo - dla włókiennictwa nie ma w Łodzi preferencji.

J. K. Łódź

(Imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

## Abecadło dla Badziaka

**G** ratuluję p. Konradowi Frejdlichowi artykule o Karolu Badziaku. W dziennikarstwie więcej jest takich przebierańców, alichi nie wszyscy mają tupet równy felietoniście „Dziennika Łódzkiego”. Czy pan Badziak nie został przypadkiem aktywistą Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które chlubi się, że skupia w swoich szeregach ludzi nieskazitelnych? Znając łódzkie i polskie realia nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby się okazało, że i tam stoi on na czele odnowy i piastuje jakieś ważne funkcje z wyboru. Wystarczy przecież dzisiaj huknąć na czerwonego znaną metodą „łapaj złodzieja” i tłumek ochoczo rzuci się na rzucony mu ochlap. Ale może się mylę, może pan Badziak nie przeniknął do SDP i działa w jakimś Zetchaenie, gdzie tacy ludzie chętnie są chyba widziani. O ile sobie przypominam redaktor Badziak był do niedawna prawą ręką piosła Stefana Niesiołowskiego w tygodniku

„Solidarność Ziemi Łódzkiej”. Tygodnik wprawdzie zniknął z powierzchni ziemi, ale odorek pozostał.

Sądzę, że „Odgłosy” popełniły błąd drukując w swoich dwóch inauguracyjnych numerach „Alfabet Badziaka”. Tacy autorzy nie przysparzają wam ani czytelników, ani wiarygodności, chyba że „Odgłosy” także gonią w piątkę i biorą teksty od byle kogo. Napaść pana Badziaka na redaktor Iwonę Katarasińską-Słodzińską była tam przecież widoczna pod maską niby to żartobliwej kpiny. A mnie ta kobieta i to, co robi dla Łodzi, bardzo się podoba i nie chciałabym widzieć jej poniewieranej przez facetów, którzy otrzymali imię na cześć Marksa.

Dobrze, że zreflektowaliście się w porę, choć i tak o dwa tygodnie za późno. Ale dzięki i za to.

Anna Przewłocka

## Pytania do A. Kaszpirowskiego

- na wyłączność „Odgłosów”



- Twierdzi pan, że słowo może wpłynąć na organizm człowieka, na jego zdrowie. Czy nie graniczy to z cudem?

- Żadnych cudów w tym nie ma, nasz system nerwowy nieustannie wpływa na stan zdrowia całego organizmu i każdego organu np. na żołądek, serce itp. Jednocześnie ten system nerwowy wycofuje każde odchylenie od normy i przesyła odpowiednio zakodowane informacje o nim do mózgu. Jednak mózg cały swój zbiór informacji utrzymuje w zamknięciu przed naszą świadomością, kontrolując zara-

zem całą naszą podświadomość z właściwym jej zasobem emocji. Sugestie odbierają zawsze uczucia chorego. Staram się oddziaływać na podświadomość, przez nią dając polecenie wyzdrowienia, często zaledwie jednym, dwoma słowami w ciągu całego seansu.

- Dlaczego odżegnuje się pan od leczenia chorób psychicznych?

- Psychiczna sfera człowieka nie poddaje się do końca leczeniu. Zresztą praktycznie cała współczesna psychoterapia zajmuje się tym. Tymczasem sfera somatyczna pozostaje jakby w cieniu uwagi moich kolegów. Zdecydowałem się specjalizować właśnie w leczeniu chorób fizycznych, gdyż jestem głęboko przekonany, że tu poprzez metody psychoterapeutyczne można bardzo wiele dokonać i efektywnie pomóc ludziom cierpiącym. Innymi słowy nie leczę chorób psychicznych, gdyż zdecydowałem się na specjalizację w ramach psychoterapii.

- Czy odtwarzanie pańskich seansów z kaset wideo nie zmniejsza skuteczności pańskiego działania?

- W tym pytaniu zawarta jest sugestia, iż oddziaływanie na pacjenta następuje przez bliżej nie określone fale, bioenergię itp. Tymczasem ja jestem psychoterapeutą, a więc podstawą mojej pracy z pacjentem jest rozmowa, treść tego, o czym z sobą rozmawiamy. Człowiek słuchając słyszy świadomością, a reaguje m.in. podświadomością, uczuciami na treść rozmowy, przekazu. Zdarza się np. ludziom reagować gniewem albo podnieceniem na treści płynące z ekranu. Dlatego też kasetą wideo, zyszerzej przekaz telewizyjny jest równie dobrym dla mnie sposobem komunikowania się co bezpośredni kontakt z pacjentem.

P.S. Korespondencję do dr. A. Kaszpirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy co tydzień rozlosowana będzie kasetą z nagraniem seansu doktora. Prosimy o dokładne podawanie adresu!

## Ogłoszenia drobne

### BUSINESS

- Telefony bezprzewodowe Faxy Nissei - ceny wakacyjne, Żniwna 4, 51-94-96.
- Hurtowo paszтет, herbata, papierosy - tanio 51-94-96.
- OBWODY DRUKOWANE, tel. 84-92-10.
- Dziurki - guziki, guziki na stopce, terminy ekspresowe, ceny konkurencyjne telefon 42-25-03.
- Kolnierzyki „polo” kolorowe produkuję 14-12-51 Łódź.
- BRAMY GARAZOWE UCHYLNE tel. 78-21-37.

### HANDLOWE

- OKAZJA! Najtaniej kupisz siatkę ogrodzeniową, krępowaną, słupki ogrodzeniowe, bramy 78-82-23. Limbowa 49.
- HURTOWNIA „Abel” Rzgów, Stalowa 6, tel. 14-12-45 oferuje - napoje holenderskie 1,5 litra, woda mineralna, wyroby cukiernicze, koszule męskie „Alwara”
- GWOŹDZIE - wyrób, sprzedaż. Stopa: Jedwabnicza 21, tel. 33-36-31 (8-10).
- TKANINA peach skin, inne 57-21-47.

### TURYSTYKA

- „ARTYSTA” zaprasza - wycieczki, wczasy - Turcja. Ceny konkurencyjne. 86-98-72.
- ITALIA - objazd. Hotele 3.100.00.- Węgry - wczasy (sierpień, wrzesień) UNIVERS - 33-79-00.
- Turcja, Węgry. Przewozy. 43-60-44.
- Wędkarze! Atrakcyjna oferta urlopowa w Azji Środkowej. 43-60-44.
- ISTAMBUL, Berlin, Budapeszt - „MARMARA”, 36-45-57, 48-20-27.

### ZDROWIE

- Dermatolog. Usuwanie brodawek. Styczeński 81-01-58.
- Gabinet okulisty - diagnostyka, leczenie, badania na prawo jazdy. Leczenie jaskry 81-84-08.
- Gabinet Gastroenterologiczny. Pełna diagnostyka - gastrokopie, rektoskopie, koloskopie. Nieoperacyjne usuwanie polipów przewodu pokarmowego. 81-84-08.
- PIEŁĘGNIARSTWO - 87-55-89.

### RÓŻNE

- MASARNIA poszukuje odbiorców wędlin 74-05-68 (8-15).
- WRÓZBIARSTWO, Łączna 2A - 81-41-08.

## BONIFIKATA



NA KOLEKCJĘ WIOSENNĄ OD CZWARTKU 1. SIERPNIĄ DO ZOBACZENIA.

HOUSE OF CARLI GRY  
PIOTRKOWSKA 80, ŁÓDŹ. TEL. 32 16 92

● Wiadomości napływające z Waszyngtonu mówią o tym, że nastąpią zmiany w składzie Rady Ministrów RP. Podobno ma odejść ze swego stanowiska wicepremier Leszek Balcerowicz. Rzecznik prasowy rządu - Andrzej Zarębski odmówił komentarza, zasłonił się brakiem wiadomości na ten temat. Okazuje się, że w Waszyngtonie wiedzą lepiej o tym, co zdarzy się w Warszawie. Złośliwi dodają, że kiedyś lepiej o tym wiedzieli w Moskwie.

● Andrzej Słowik podzielił przyznane mu odszkodowanie: 100 milionów na Fundację Słowika, 27 mln zł na Fundusz Zdrowia Ziemi Łódzkiej i resztę (57 672 tysiące zł) na fundusz Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej. Jerzy Kropiwnicki, który właśnie powrócił z USA, skomentował to tak, że powołanie „Fundacji Słowika”, która ma się zajmować ujawnianiem zbrodni przeciw polskiemu narodowi, zagroziło pewnym środowiskom w Polsce i stał się ataki na Andrzeja Słowika. Natomiast Jerzy Kropiwnicki ma zamiar dogadać się tylko po złotówce za każdy dzień przebywania w więzieniu.

● Przemek Jaroń miał polisę „droga życia” z „Westy” i dzięki temu można było mu w King's College Hospital w Londynie dokonać przeszczepienia wątroby. Koszt operacji wyniósł 45 000 funtów i pokryła go w całości „Westa”. W dniu, kiedy na Okęciu wylądował samolot, którym powrócił do Polski Przemek Jaroń z matką



i dwoma łódzkimi lekarzami, którzy mu towarzyszyli” - przez Janusz Baranowski zwołał konferencję prasową, na której ogłosił nowy rodzaj ubezpieczeń, jakie wprowadza spółka „Westa-Life”. To się nazywa umiejętność wykorzystywania właściwego momentu. I choć niektórzy się na to krzywią, muszą się do tego zacząć przyzwyczajać. Takie nadechodzą obyczaje!

\* W Belwederze odbyło się spotkanie prezydenta Lecha Wałęsy z kierownictwem i pracownikami telewizji. Anna Bikont w „Gazecie Wyborczej” atmosferę panującą na tym spotkaniu określiła jako „gęstą od lizusostwa”. „Będziemy pańskimi pacholkami” - zadeklarował szef telewizji w Katowicach - Rafał Szymoński. Domagano się też pomocy od prezydenta. „Jeśli pan nam nie pomoże, to już nie wiem, co się stanie” - mówiła Wanda Konarzewska. Pełno też było donosów - stwierdziła Anna Bikont - Marek Markiewicz doniósł na „Gazetę Wyborczą” i „Trybunę”, Rafał Szymoński doniósł, że w „Gazecie Wyborczej” nie podobają mu się tytuły, a Maciej Strzembosz doniósł na „kontraktowy Sejm”. Prezydent Lech Wałęsa zdecydował, że kandydaci na posłów i senatorów powinni mieć nie więcej niż jedna - dwie godziny czasu na antenie telewizyjnej. „Niech sobie też brzęczą po 24.” - powiedział. Wyraził żal, że nie ma dekretów, bo przy ich pomocy można byłoby natychmiast rozwiązać niektóre kłopoty telewizji. Rafał Szymoński dowodził, że niezależność dziennikarską rozumie jako lojalność w stosunku do władzy, co ma się wyrażać również i tym, że jak trzeba to też krytykuje się władzę. Starsi wiekiem i stażem oraz doświadczeniem dziennikarze powiadają, że to spotkanie przypomina im narady, jakie niegdyś odbywały się też w Warszawie, ale w zupełnie innym budynku.

● Antoni Szram i Feridun Erol „ukradli” kamień, na którym była przytwierdzona tabliczka z informacją, że tu - przy ul. Józefa Piłsudskiego - ma kiedyś stanąć Filharmonia Łódzka. Czyn ten miał zwrócić uwagę opinii publicznej na malejącą zainteresowanie sprawami kultury i na jej pogarszającą się sytuację. Wojewoda Waldemar Bohdanowicz zaprosił obu inicjatorów happeningu do siebie na rozmowę. Feridun Erol stawiał się w sekretariacie wojewody w szortach. Sekretarka wojewody uznała ten strój za nieodpowiedni i nie wpuściła go do gabinetu. A mogłoby się wydawać, że nie to jest ważne, co człowiek ma na sobie, ale co ma w sobie.

● Po nominacji na stanowisko komendanta głównego policji podinspektora Romana Huli - przeciw czemu policja protestowała - ZJM skomentował:

Dziś nie wsadzą mnie do ula, gdy powiem - policja Hula.

● W Zgierzu przez dwa tygodnie nie było ciepłej wody, którą miastu dostarczały Zakłady Przemysłu Barwników „Boruta”. Zakłady wyłączyły ciepłą wodę, bowiem Rejonowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej nie zapłaciło „Borucie” pieniędzy, bo nie otrzymało ich z centrali. Ale mieszkańcy Zgierza za ciepłą wodę placili i mieli prawo się wściekać, co też czynili. Na skutek ich protestów Zarząd Miasta, Rejonowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej oraz Zgierska Spółdzielnia Mieszkaniowa zebrały swoje pieniądze do kupy i zapłaciły „Borucie” zaległości. Tę radosną dla zgierzan wieść ogłosił wiceprezydent miasta - Stanisław Łodwig, ale skutek był żaden, bo nastąpiła awaria. Okazuje się, że biednym zawsze wiatr w oczy, albo mówiąc inaczej, jak nie urok, to przemarsz wojsk.

● Jerzy Walczyński (Telewizja Łódź) oskarżył na łamach „Gazety Łódzkiej” Małgorzatę Ziętkiewicz (Telewizja Łódź), że w programie demaskującym afery wokół budowy Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki „pomyliła nomenklaturę” i że jeśli „dalej pójdzie tym tropem, w skarpetkach będą chodzić nie ci, co powinni”. Na wszelki wypadek jednak żadnych nazwisk nie ujawnił, sugerując, że Małgorzata Ziętkiewicz dobrze wie, o kogo chodzi. A telewizzowie też wiedzą?

B.M.

## Jedno danie Anny-Marii

Po wystaniu syna ze znajomymi na wakacje i po odliczeniu wszystkich lipcowych świadczeń (bez telewizji), zostało mi jeszcze w kieszeni trzysta dwadzieścia pięć tysięcy trzydzieści osiem złotych. W lodówce zaś miałam: pół kilograma tzw. skórek od słoniny (dla psa), paczkę granulowanego mleka (dla kota), pół flachy – niestety, ale oleju tylko słonecznikowego (nie Poloneza). W szafce, zwanej dumnie spiżarką, poniewierali się po torebkach jakieś nędzne resztki: tu ryżu pół szklanki, tam garść kaszy manny. Za to w sół byłam bogata – cały zapasny kilogram. Mimo owej soli mina mi żrzedła. Oj, cieniutko Anno-Mario, bardzo cieniutko! I na jakiej podstawie tyś się tak optymistycznie rozmarzyła, że jak miesiąc bez syna, wyłącznie z psem i kotem, to oszczędności porobisz, i pożyczasz jak zwykle nie będziesz musiała?

Marzenia kobiety pracującej. Żeby nie pożyczać. Żeby starczyło. Żeby przyszczędzić. Kupić gdzieś coś taniej. Lub choćby ze złudzeniem, że taniej. Ulicami idąc odwracać łeb od mijających wystaw. Pytać się ulicznej kwiaciarki o piniówkę różową, różę płomienną, wysmukłą gladiolę, usłyszeć cenę, przeliczyć ją na kajzerki lub mydełka DURU i odejść, nie kupując. Marzenia sprowadzone do dodawania i odejmowania, do wycięcia; radość życia do straganu na Bałuckim Rynku, gdzie banyany wkrótce przecenione. A później gnasz z tą swoją przecenioną radością do domu, podtykasz ją synowi pod nos, wołasz: *popatrz, synu, ile ci matka dziś bananów nakupowała!*

A on, ten syn twój, chociaż tak bardzo je lubi, patrzy nieprzyjaźnie: *Lepiej byś oszczędzała na kolorowy telewizor albo na komputer...*

Jakby za ten przeceniony luksus można było cokolwiek innego kupić niż podgnięte, rozpaczkane banany właśnie. Można, a jakże – dokładnie dwie małe paczki zapalek marki Gamrat po dwa tysiące złocisków za jedną. Ale mój syn nie marzy o zapalczakach z Jasła. Jeszcze rok temu, dwa lata pochylał lepetynę nad atlasem świata, na podłodze rozkładał mapy; pośpiesznie i za-

chłannie łykał książki z serii *Dookoła Świata*, dalekie podróże miał w głowie i w sennych majakach, wabiły go egzotyczne Wyspy Kokosowe, świat nie miał dla niego granic, był cały do zdobycia, do zwiedzania. W grubych zeszytach o gładkich kartkach wymalowywał dziwne krainy, podobne do krain Ociepki, chociaż Ociepki nie oglądał. Niezwykle kwiaty tropiku, dżungla splecione, przestrzeń wypełniona obrotami po-

## Nie ma takiego numeru

dobnymi do smoków. Zimą, gdy tęsknił za lasem, malował lasy. Nawet szarpnęłam się i kupiłam mu farby prawdziwe, olejne w tubkach, temperę w kubeczkach, pędzle, pędzelki, terpentynę, kartony. W moim matczym sercu narastała duma, bo to, co malował mój syn, zwiastowało wrażliwość, może nawet i talent?

Teraz atlas, mapy porządnie poskładane, a pędzle i farby po tubkach się zaschły. Teraz świat mego syna stał się klaustrofobiczny, ograniczony do marzeń o posiadaniu paru przedmiotów, które powinny należeć do wyposażenia mieszkania tak jak patelnia czy krzesło.

Ktoś mi niedawno powiedział – kto? nie mogę sobie przypomnieć, że w ogóle nie należy marzyć. Marzenia surowo wzbronione. Niebezpieczne są. Dla zdrowia psychicznego przede wszystkim. Od ich konfrontacji z rzeczywistością można zwariować. Dlatego trzeba się ich pozbyć jak balastu. Wykluczyć. Nie dać się im. Bronić przed nimi. Żyć teraz należy z nosem przy ziemi, bez rozglądania się na boki, a już uchowaj Boże, żeby tę swoją głowę wzniesić nieco wyżej, gdzieś ponad popatrzeć, czegoś więcej zapragnąć niż oszczędnościowych mydełek DURU. W garści się ścisła mocno te swoje podniszczone portmonetki z resztkówkami, a nie kamyki zielonych marzeń; Rodowicz się podstarzała, jej remedium

też do lamusa; nie da się „wsiąść do pociągu byle jakiego, ściskając w dłoni kamyk zielony”, bo nie ma już byle jakich pociągów, są wyłącznie bardzo drogie, o wiele za drogie, żeby nimi podróżować w swoje własne krainy nieznanne.

Ach, już wiem, od kogo usłyszałam o tych marzeniach, że wzbronione. Od takiego jednego. Artysty malarza. Zaczynał swoją karierę z rozmaczem, przebojowo. Jak to się wypisuje w biogramach: szereg wystaw zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą, szereg nagród i wyróżnień. Ale ożenił się. Potem urodziły mu się dzieci, syn i córka. Co do tego dodać? Że syn jest uczniem

pierwszej klasy szkoły podstawowej, a żona właśnie na urlopie macierzyńskim? I że on, ten zdolny i zapowiadający, piastuje zaszczytne stanowisko starszego asystenta na uczelni artystycznej? Można by jeszcze i to, że nigdy nie chciał malować komercyjnie, żadne kwiatki, pejzaże, bo miał własną, niepodzielną wizję tworzenia? Kiedyś mi podarował swoją grafikę, nazwałam ją „Izłą świata”.

Niedawno spotkałam go pod arkadami Starego Rynku. Taszczył pod pachą jakiegoś olbrzymiaste blejtramy. Młody a przygarbiony mężczyzna o posiwiałych mocno skroniach. Co tam masz? – zapytałam. Roześmiał się tak, że mi ciarki po plecach przeszły.

– *Malarstwo sztalugowe – odpowiedział – Takie na centymetry kwadratowe. Im więcej centymetrów, tym drożej, rozumiesz, Anno-Mario? Kwiaty jak żywe, pejzaże jak z fotografii. Kopie też robię. Niedawno trafił mi się świetny klient, bulną melonami zadatkę. W dwa tygodnie, ekspresowo, panie artysto, machniesz mi pan coś dużego historycznego, oznajmił. Salon urządzam w swojej nowej willi, taki salon na staro, rozumiesz pan? Tu marmur, tam szablę, tam akasmita portiera, a tam wielki obraz historyczny na pół ściany. Konie mają być na nim, rycerze i pióropusze.*

– *A ty co?* – zapytałam. Roześmiał się znowu. Od takiego śmiechu tylko się wieszać.

– *Jak to co, Anno-Mario? A rodzina. Rodzina mniem-mniem potrzebuje. Więc w przepisowym terminie machnąłem Matejkę, Bitwa pod Grunwaldem, historyczne, duże, rycerze są, pióropusze, sztandary i konie. Mój klient był wielce usatysfakcjonowany. Powiedział, że mi zrobi reklamę wśród znajomych.*

Wtedy zapytałam go, głupio i nieopatrznie, o tamtą „Izłą świata”, a on, już nie śmiejąc się wcale, lecz tak jakos przez zaciśnięte zęby rzucił mi o tych marzeniach, że surowo wzbronione i żeby je cholera! I odszedł. Z tymi metrami malarstwa sztalugowego. Do galerii. Sprzedawac. Rodzina przecież mniem-mniem potrzebuje.

Moja sąsiadka, ta od wspólnoty gazetowej pomysłodawczyni, ma zupełnie przyziemne marzenia. Jest osobą starą, samotną; mąż zmarł kilka lat temu, syn daleko w innym mieście. Dnie spędza na cmentarzu z mężem, wieczorami dzwoni do syna. Gwoli ścisłości: dzwoniła – kiedyś. Kiedyś to nawet zamykała mieszkanie, wsiadała w pociąg, jechała do syna – na dzień, na dwa. Bo tak się w którymś momencie, Anno-Mario, z człowiekiem robi, że sam głos już nie wystarcza. Trzeba pojechać, żeby zobaczyć, dotknąć, i potem z tym dotknięciem wracać do swoich czterech pustych ścian.

Teraz nie stać jej na luksus zaspokajania tęsknoty, wyrażanej pragnieniem: dotknąć syna; bilet zbyt drogi, renta po mężu małutka. Od pierwszego lipca, gdy podróżowały znowu telefonem i na luksus posłuchania głosu syna też jej nie stać.

– *Patrzę na aparat, patrzę, podnoszę słuchawkę, mam sygnał, wykręcam kierunkowy, potem dwie pierwsze cyfry numeru syna. Potem siedzę ze słuchawką przy uchu i wyobrażam sobie, Anno-Mario, że słyszę jego głos. Często mi się to udaje. Słyszę, naprawdę! Ale zaraz się włącza obcy, kobiecy głos. Nie ma takiego numeru, mówi mi.*

Cóż, nie ma takiego numeru. Automat mówi całą prawdę.

Anna-Maria

## E. L. Skalnik Z tygodnia na tydzień (10)

Jacek tylko trzy noce przespał w kuchni na dmuchanym materacu. Szybko znalazł sobie pokój w starej kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej. Krępował go nocowanie w kuchni, dokąd dochodziły różne odgłosy rodzinnego życia. Rozumiał, że przyszedł do Domagalików nie w porę. Czuł się intruzem. Nie miał innego wyjścia. Gdy Henryk Domagalik przeczytał list od starego przyjaciela Klemensa Wiaderkiewicza z Wrocławia, rozłożył tylko szeroko ręce i powiedział – *Witaj u nas!*

Pracę miał załatwioną w drukarni prasowej, której gmach stał przy alei Józefa Piłsudskiego, a która dawniej nazywała się ulicą Armii Czerwonej. Zakład modernizował się,

Zamilkła. Kłopotów im nie brakowało. Po co więc go denerwować. Jest ciągle jakiś nie-swoj. Może namówić go, aby poszedł do lekarza? – zastanawiała się w myśli. Tylko, czy zechce, czy da się namówić?

Jacek kręcił się niecierpliwie na krześle. Nie śpieszył się. Miał nadzieję, że zobaczy Anitę. Spodobała mu się od razu, gdy cała jeszcze zapłakana trzasnęła mu przed nosem drzwiami z okrzykiem, że to pomyłka. Szybko, z uryków rozmów, jakie mimochodem słyszał przez te trzy dni, gdy tu przebywał, wynioskował, że coś niedobrego stało się między nią a jej mężem. Marka nigdy na oczy nie widział, ale wyczuwał, że rodzina jest mu niechętna. Nic go zresztą ten facet nie obchodził.

– *Z niczego nie spadł – spokojnie wyjaśniał Henryk. – Przyjechał z prośbą Klemensa i pomogłem mu. To moja sprawa. A ty się nie wściekaj!*

– *Heniu! – wtrąciła się Jadwiga. – Ty też się nie denerwuj! A ty – zwróciła się do córki – nie wyładuj swojej złości na ojcu. Wobec tego pana też zachowaj się po grubiańsku.*

– *Przepraszam – Anita spuściła z tonu. – Ale co ja mam zrobić?*

– *Ty go chcesz czy musisz zabrać do domu? – pytała Jadwiga.*

Anita ucieżyła się z pytania matki. Musiała przecieć z kimś o tym porozmawiać.

– *I muszę, i chcę – powiedziała uśmiechając się – chociaż też i wręcz przeciwnie.*

– *Mówisz zupełnie jak pan prezydent Wałęsa. Samymi zagadkami. Co to znaczy? – Henryk patrzył uważnie na córkę.*

będzie? Może być nieszczęście. Jadwidze tego nie powie, po co ją dodatkowo martwić, ma już dość kłopotu z Joanną. Jak będzie orzeczenie lekarzy, to jej powie. Ale szpital jest niemal pewny. W takich paskudnych czasach.

– *No dobrze – otrząsnął się z niewesołych myśli. – I jak to sobie wyobrażasz później, jak on tu już będzie?*

– *Nie wiem – przyznała się bezradnie Anita. – Naprawdę nie wiem. Nie będzie lat. To pewne.*

– *A co on mówi na temat powrotu? – zaciekawiła się Jadwiga.*

– *Nic. Przyjął to normalnie. On się w ogóle tym nie przejmuje. Jego to mało obchodzi.*

– *Nie będzie łatwo – potwierdził Henryk mając na myśli nie tylko sytuację Anity i Marka, ale całą skomplikowaną sytuację rodziny, ciężką Joannę, swoje zdrowie i zmartwienia Jadwigi.*

– *Przecież nie mogę go tam zostawić – zastanawiała się głośno Anita. – W końcu on jest moim mężem i ojcem moich dzieci. Tu jest jego miejsce, jego dom. Wiem, że wy go nie lubicie, ale ja go kocham.*

– *A jak zażąda rozwodu? – nie wytrzymała matka.*

Anita popatrzyła na nią bezradnie.

– *Myślałam o tym – przyznała. – Ale zupełnie nie wiem, co zrobić?*

– *Silą go tu przecieć nie będziesz trzymać – bardziej stwierdził niż zapytał ojciec.*

– *Silą nie, ale może się ustakuje. Przecieć nic nie wskazywało, że coś takiego się stanie. Nie wiem.*

Anita wstała i poszła do siebie. Zostali sami. Siedzieli długą chwilę w milczeniu. Każde myślało o tym samym. O dzieciach, które stały się samodzielne i życie im się tak dziwnie układa. Andrzej robi interesy i bogaci się. Anita stoi przed trudnymi decyzjami żywymi i nikt nie wie, jak się potoczy jej dalsze życie i życie jej dwojga dzieci: Damiana i Buby. Joanna. To ich największe zmartwienie.

– *No, matka – przemówił Henryk – zgłodniałem.*

Wstała ciężko. Przez chwilę myślała, co tu dać do jedzenia, gdy u drzwi gwałtownie zadzwieczał dzwonek.

– *Kto to może być? – zastanowiła się. – Nie lubię takiego dzwonięcia. Wydaje mi się, że zwiastuje nieszczęście.*

– *Daj spokój – lekceważył jej obawy mąż. – Zaczekaj, Anita już poszła otworzyć.*

Przez chwilę trwał spokój. Powoli otworzyły się drzwi i weszła Anita, trzymając w ręku kawałek papieru, któremu uważnie się przyglądała. Podniosła wzrok na rodziców.

– *Złe wieści – powiedziała szeptem. – Wujek Zygmunt nie żyje. Trzeba jechać na pogrzeb do Gorzowa. Ale – wskazała głową na pokój starszych państwa – jak im to powiedzieć?*

Cdn.

## Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Zmienił właściciela. Szeffował tu Lech Oręba. Ludzie mówili o nim, że jest dobrym, rzutkim fachowcem, ale bali się go, bo był niebawale wymagający. Jacek czuł, że tu się może nauczyć wiele nowego. Porobił znajomości. Przyjęto go życzliwie.

Łódź mu się nie podobała. Długie proste ulice. Mało zieleni. Brudno, niespokojnie i jakoś prowincjonalnie. Zupełnie inne miasto niż Wrocław. Jacek tęsknił za Wrocławem. Tam się urodził, wychował. Brakowało mu tego kolorytu, jaki starym miastom nadają zabytki. I ludzie byli tam zupełnie inni. Ta mieszanina ludzi z różnych części dawnej Polski wytworzyła obecnego wrocławianina, który Jackowi wydawał się niepodobny do mieszkańców innych miast. A już zupełnie do łodzian. Przy całej barwności Piotrkowskiej, przy coraz bardziej europejskich witrzynach sklepów, Łódź wydawała mu się biedna. I chyba taka była.

Henryk Domagalik słuchał Jacka z uwagą i kiwał głową potakująco. Jacek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ten postawy, sympatyczny mężczyzna, którego polubił, jest jakby zapatrzoną w siebie. Siedzi przy stole, palcami postukuje leciutko po blacie, patrzy na Jacka, ale jednocześnie jakby cały był zapatrzoną w siebie. Coś mu dolega, coś go gnębi, ale przecieć zapytać nie wypada. To nie jego, Jacka sprawa. Nie należy do tej rodziny.

– *Zadowolony jesteś? – zapytał nagle Henryk i nie czekając odpowiedzi, ciągnął: – To dobrze, to ważne. Człowiek musi być zadowolony z tego, co robi.*

– *A ty nie jesteś? – wtrąciła się do rozmowy Jadwiga.*

– *Nie o mnie chodzi – machnął ręką.*

Anita znacznie się zmieniła. Zaczęła dbać o siebie. Zmieniła fryzurę. Staranniej się ubierała. Nie biegała już po mieszkaniu w przybrudzonej szlafroku. Jacka traktowała jak uprzykrzoną muchę, która musi odlecieć, tylko nie wiadomo, kiedy to się stanie.

Powoli zbierał się do wyjścia, gdy w przedpokoju posłyszal jakieś odgłosy. Drzwi się uchyliły i do pokoju weszła Anita. Miała na sobie kwiecistą sukienkę, odświeżone powyżej kolan nogi, ładne pantofelki na wysokim obcasie.

– *Zabieram Marka do domu – powiedziała bez wstępów, zupełnie nie zwracając uwagi na Jacka. Jacek wstał i uklonił się demonstracyjnie.*

– *Dzień dobry panu – rzuciła dostrzegając tę demonstrację. – I co wy na to? – to już było skierowane do rodziców. Henryk nagle głośno zabębnił palcami po stole. – Anita – powiedział rozciągając samogłoski – to jest twoja sprawa. Sama musisz zdecydować.*

– *Moja, moja, to ja wiem bez was. Ale kogo mam się poradzić? Może jego – głową pokazała Jacka – obcego.*

Jacek poczuł się urażony. Jak ona go traktuje? Nie zasłużył sobie na to. Wstał. Uklonił się wszystkim.

– *Przepraszam – powiedział – ja już muszę iść. Do widzenia! – I ruszył ku drzwiom.*

– *Nie zapominaj o nas – Henryk zrozumiał niezręczność sytuacji i próbował ją jakoś rozładować. – Jak będziesz miał czas, to wpadnij!*

Jacek schodził po schodach i powtarzał cicho: – *A to cholerna osa! Osa!*

– *Czego on tu chciał? – denerwowała się Anita. – Spadł z nieba w najmniej odpowiedniej chwili i jeszcze teraz przylazi. Po co?*

Maria z powieści Johna L. Coeka tak wczesnie utraciła raj, że w jej psychice nie ma miejsca na tklivość. Jest skazana na wieczny uczuciowy czyszciec, nigdy też nie dozna zbawienia miłości. Zapowiada to już jej pierwsze zbliżenie z przyszłym mężem Jerry Dornem, którego narracja stanowi kanwę fabularną książki.

kf

Nad ranem wyszedłem samotnie na spacer po plaży. Dreczony w nocy erotycznymi majakami, nie spałem dobrze. We snach Maria jawiła mi się jako dziesięcioletnia dziewczynka o twarzy kobiety i dojrziałych organach płciowych. Ja byłem w tych snach Georgem o olbrzymim chujogiera. Kobieta-dziecko krzyczała ilekroć szturchałem ją tym wielkim czerwonym drągiem. Odstaniała mu się główka jak penisowi, wilgotna i żarłoczna; i przybierał twarz ludzką – moją twarz, z małymi ustami, rozwartymi, z których wydierały się okrzyki.

Widok plaży Florydy o świcie jest jednym z najpiękniejszych, jakie mogą się stać udziałem

– Pan Dorn?  
Zaskoczony przepuściłem ją przed sobą w stronę schodków.  
– Chce pani ze mną porozmawiać?  
– Tak – odpowiedziała.  
Po tej krótkiej odpowiedzi zatrzymała się. Nie podjęła żadnej próby wytłumaczenia ani przeprosin za nie zapowiedzianą wizytę.  
– Proszę wejść – otworzyłem drzwi i odsunąłem się dając jej drogę. Zapaliłem światło i przyglądałem się jak lustruje wzrokiem mój pokój.

Do moich apartamentów wchodziło się przez małą kuchnię, oddzieloną wąskim stołem od pomieszczenia, które było zarazem salonikiem i sypialnią. Jedynym znamiennym moich osobistych potrzeb były książki i elektryczna maszyna do pisania IBM, zarzucona papierami i ustawiona na stole.

– Jak odkryłaś, gdzie mieszkam? – spytałem. – Sądziłem, że mój adres jest ścisłą tajemnicą.

Spojrzała na mnie swymi czarnymi, nieprzenikniętymi oczyma. Była ubrana w tę samą żółtą suknię, którą miała na sobie na pierwszych zajęciach. Nie nosiła pończoch. Włosy jej lśniły w sztucznym, neonowym świetle.

punkt krytyczny w chwili, gdy zmusiła mnie, abym jej dotknął.

– W porządku. Co się ma stać, niech się stanie.

Wspaniały uśmiech rozjaśnił jej twarz. Wygięła ciało w pożądliwy półłuk. Byłem wstrząśnięty tą ujawnioną namietnością, dłoń mi drżała, kiedy sięgałem nią pod jej porośnięty czarnymi włosami wzgórek łonowy.

Powściągała mnie jednak pewna ostrożność.

– To nie da ci zbyt wiele – przestrzegałem ją.

– Miej to na uwadze. Jeśli to jest twój pierwszy raz, to nie da ci zbyt wiele.

– Ale ty przecież wiesz, jak to zrobić, prawda? – głęboka ufnosć przebiła ją z jej słów. – Ty wiesz, jak się postępuje w takich razach.

Jej oddanie ostudziło moje zapęły i wypełniło szczególnym poczuciem odpowiedzialności. Nie mogłem zachłystnąć się jej ofiarą; powinienem prowadzić ją krok po kroku, aby jej ułatwić przebycie tej drogi. Ponieważ, choć uważała się za gotową do fizycznej miłości, żadna dziewczyna nie jest w istocie nigdy przygotowana na ów głęboki wstrząs, jaki wywołuje penis po raz pierwszy wprowadzany do wnętrza jej ciała.

Wstałem i zacząłem się rozbierać. Robilem

i język ukazał się między zębami. Ułożyłem się na niej ostrożnie, i zbliżyłem usta do jej ust. Czas dojrzał: schowała język i przywarła mocno wargami do moich warg, obejmując mi głowę rękoma.

Po tym pocałunku, odsunąłem się od niej cały. Nie dotykałem jej już ani ręką, ani ustami, ani żadnym w ogóle kawałkiem mego ciała. Spytałem:

– Teraz?

– Tak – odpowiedziała – tak!

Ciągle poruszałem się bardzo powoli. Ułożyłem ją w pozycji otwartej, podłożyłem pod głowę poduszkę, uniosłem zgięte kolana, rozsunąłem nogi. Uklękłem między jej kolanami; wpatrywała się w mego chuja z zachwytem pochylając głowę.

– Teraz – powtórzyłem, tym razem już nie pytając.

Na chwilę przed nieodwołalnym zetknięciem, objawiła dziwną reakcję. Nie próbowała się bronić, jak się spodziewałem. Przeciwnie, leżąc na wprost mnie z ciałem otwartym na przyjęcie mnie, odwróciła głowę i zaczęła rozglądać się po pokoju.

Cóż mogła odnaleźć w tym otoczeniu banalnym i bez wyrazu, aby odwrócić uwagę od mo-

# Maria, czyli kwadratura seksu

człowieka. Potrzebne mi było takie doznanie piękna po nocnych koszmarach.

Zatrzymałem się z rękami w kieszeniach, pochylony jak mewa i wpatrywałem przez chwilę w horyzont, tam, gdzie wody Zatoki wznosiły się, sięgając nieba, na podobieństwo łańcucha wzgórz.

Przecież jednak Maria nie była dla George'a tylko ciepłą dziurką. Z pewnością przyjmował ją w całej jej złożoności, co zobowiązywało go do wyrzeczeń i podejmowania odpowiedzialności niemal go przerastającej. Cóż musiał odczuwać, kiedy przypatrywał się Marii wzbudzającej w nim erekcję! Nie po to, by móc po raz kolejny posiadać swą ukochaną kobietę-dziecko; ale po to, by pieścić ją palcem i dać się wpędzać w to potworne poczucie winy, z jakim uczył ją tych wszystkich diabelskich sztuczek.

Nie mogłem zaprzeczyć, nawet przed sobą samym, że opowieść Marii mnie przygnębiła. Na końcu opowieści spojrzała na mnie oczyma wilgotnymi i lśniącymi jak ogrodowe lampy; piersi lśniły w ich poblasku uwyppuklając ich harmonijną budowę. I powiedziała, że wybrała Jerry'ego Dorna na swego pierwszego kochanka, ponieważ w jakiś niepojęty sposób przypominał jej George'a.

Ruszyłem przed siebie, z opuszczoną głową, zagłębiając ręce w kieszeniach. Ogarnął mnie chłód przedświutu, poprzedzający żar tropikalnego słońca. Wkrótce na wyspę powróci służba. Mogłbym uciec od tych trojga ludzi, obnażonych wobec odzianego.

Obaj tamci mieli w sobie dynamikę, ducha i ciała, której ja nie miałem.

A ja, Jerry Dorn – byłem zupełnie zwyczajnym facetem, raczej introwertykiem, niepewnym siebie, nie stworzonym do niezwykłych eksperymentów. Historia mego życia byłaby bezbarwna, w porównaniu z ich historiami. W końcu najważniejszym wydarzeniem życia była Maria.

Nawet teraz nie mogłem zrozumieć, co we mnie wtedy dostrzegła. Zawodowy pisarz, autor dwóch powieści, na których nie zarobiłem nawet dziesięciu tysięcy dolarów, przyjąłem zaproszenie na semestr wiosenny do jednego z lepszych uniwersytetów na Florydzie, jako pisarz-rezydent. Placili bardzo dobrze, wymagali niewiele; miałem tylko prowadzić seminarium literackie i wykład o nowoczesnej literaturze amerykańskiej.

Opuszczając kampus, wkraczałem w sferę mej samotnej egzystencji pisarza, samotnej w sposób wcale dla mnie nieprzykry, ponieważ zdecydowałem się na nią sam, z własnej nieprzymuszonej woli.

Maria zapisała się na seminarium literackie. Zwróciłem na nią uwagę już na pierwszych zajęciach; nie dlatego, że była piękna, lecz że wydawała się nieświadoma swej urody. Wedle moich doświadczeń, zdarza się to u kobiet nader rzadko. Niczym nie podkreślała piękna swej twarzy, niczym nie uwyppuklała uroków ciała. Spokojna, zamyślona, jakby nieobecna, słuchała wraz z innymi moich wywodów wprowadzających w przedmiot zajęć. Pomyślałem w duchu, że chyba byłoby to za dużo, gdyby do tego okazała się jeszcze utalentowana.

Nigdy się o tym nie przekonałem; po kilku zajęciach wypisała się z listy uczestników.

Czasami widywałem Marię na kampusie. Dostrzegałem ją natychmiast, nawet z daleka. Dziwiłem się samemu sobie, że mijając ją na korytarzu czy też na alejce między budynkami, jakbym oczekiwał, że się do mnie odezwie. Ale się nie odzywała – aż do dnia, na jakieś trzy tygodnie przed końcem semestru, w którym wydarzyło się coś, co mogłoby się stać sygnałem do mego wyjazdu.

Miałem właśnie dzień wolny. Spałem długo i pracowałem leniwie, potem poszedłem na obiad do jednej z miejscowych restauracji. Kiedy wracałem, znalazłem ją siedzącą na schodkach wiodących do mego mieszkania.

Podniosła się na mój widok i podeszła z pytaniem na ustach.

– Szłam za panem któregoś dnia, kiedy pan wracał z kampusu.

Przypatrywałem się jej zastanawiając, czy ją spytać, dlaczego wypisała się z mego seminarium. Ale zamiast tego zagadnąłem:

– Czym ci mogę służyć?

Drgnęła i skierowała kroki ku szklanym drzwiom w głębi pokoju. Znajdował się za nimi taras, zbyt mały, aby był z niego pożytek, i wychodzący wprost na parking. Zasłony były odsłonięte i stwierdziłem nagle, że dla kogoś, kto podglądałby nas z parkingu, ustawiliśmy się jak na scenie.

– Czy chcesz, żebym zaciągnął zasłony? – zapytałem.

– Tak, myślę, że byłoby lepiej je zasunąć.

Podszedłem do oszklonych drzwi, aby je zasłonić. Nagle znaleźliśmy się oboje w bezosobowym, anonimowym pomieszczeniu. Obróciłem się ku niej i powtórzyłem pytanie:

– W jakiej sprawie przyszłaś?

– Nie bardzo wiem – odpowiedziała.

Napełniłem herbatą filiżanki, do mojej dołąłem trochę mleka, i wniosłem je do saloniku. Zbliżyła się, aby odebrać herbatę; nasze palce zetknęły się po raz pierwszy, całe moje ramię odczuło jakby przenikający impuls elektryczny. Nie umiałbym powiedzieć, czy ona także odczuła coś podobnego.

– Gdyby się ktoś dowiedział, że byłeś w moim mieszkaniu, wybuchłby niezły skandal na kampusie – powiedziałem.

– Wiem – spojrzała na mnie głębokimi, ciemnymi oczyma. – Byłaś bardzo ostrożna, panie Dorn. Bardzo, bardzo ostrożna.

– Mogłbym przecież zażądać następnej randki. To bardzo dogodny układ dla walczącego z oporem materii pisarza – spróbowałem się usmiechnąć.

Spojrzała mi prosto w oczy. Jej odpowiedź brzmiała poważnie i miażdżąco:

– Nigdy dotąd... nie miałam jeszcze mężczyzny.

Mój śmiech zabrzmiał sztucznie:

– Och, przepraszam, Mario. Nie chcę być tym kimś, kto...

– Ale właśnie nadeszła ta chwila. I ty jesteś tym kimś.

Przesiadła się, aby postawić pustą filiżankę na półce, która po rozłożeniu sofy, stawała się wezwłóciem łóżka. Powoli wstała, sięgnęła ręką do karku i rozpięła suwak. Płynnym ruchem wysunęła się z sukni.

Nie miała pod nią niczego. Ale pierwszy wstrząs wywołała we mnie nie jej nagle odsłonięta nagość, lecz myśl, że przez cały ten czas, kiedy rozmawialiśmy, ukrywała tę nagość pod suknią.

Pozostawała spokojna także, kiedy rozkładała sofę i kładła się na rozstawionym w ten sposób łóżku. Wtedy obróciła głowę ku mnie:

– Proszę, wypierdol mnie.

Dostałem wzdrowu, każdy mężczyzna by dostał. Ale wciąż się jej opierałem:

– Nie, Mario. Przykro mi, bardzo mi przykro, ale nie.

Leżała naga i otwarta. W oczach odmalowało się nagle zakłopotanie:

– Czy popełniłam jakiś błąd? A może ty jesteś odmienne? Niektóre dziewczęta na kampusie utrzymują, że jest pedalem. Ale ja...

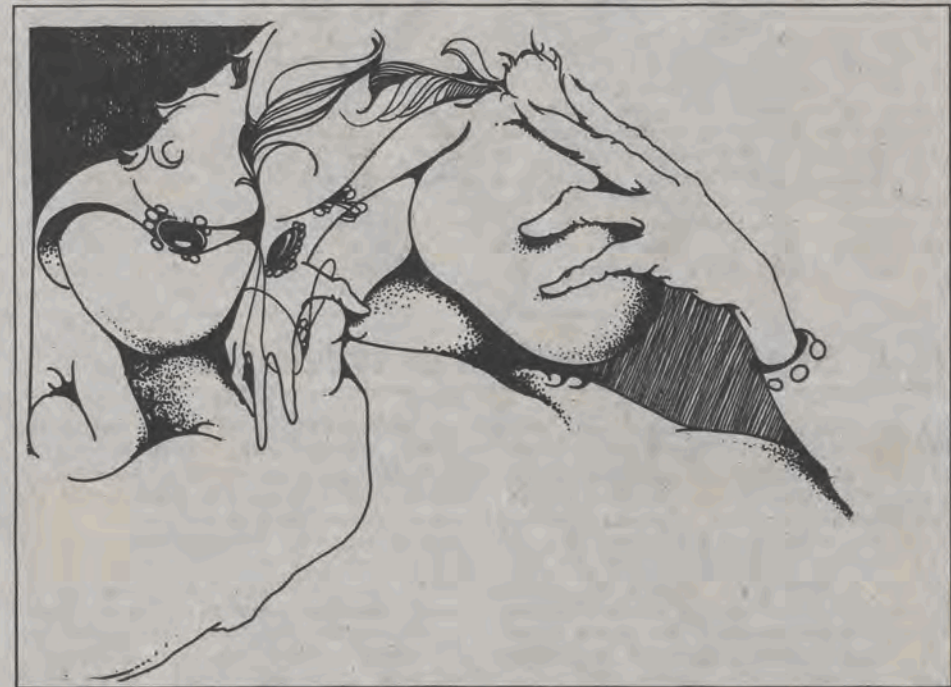
To oświadczenie mnie wzburzyło. Podniosłem się z krzesła, podszedłem do sofy tak, żeby móc zajrzeć jej w oczy.

– Wiesz, lubię kobiety – powiedziałem. – Ale nie mam zwyczaju deflorować dziewczę, ot co. Nie mam też zwyczaju sypiać z dziewczętami o dziesięć lat ode mnie młodszymi. Rozumiesz, dziewczyny zbyt młode...

Ujęła moją rękę i położyła ją sobie na brzuchu.

– No więc wypierdol mnie. Proszę o to!

Spróbowałem uwolnić rękę, ale przycisnęła ją do siebie obiema dłońmi. Czulem ciepło jej ciała. Leżała patrząc na mnie błagalnie, tak piękna, tak oczekująca. Na mnie. Nie mogłem się dłużej opierać. Moja żądza przekroczyła



Rys. Dariusz Romanowicz

to powoli, tak aby mogła mnie obserwować i przewidywać moje działania. Chciałem, żeby zobaczyła mego sterującego chuja zanim go zagna. Obnażywszy się przed nią, przysiadłem ponownie na sofie i położyłem rękę na jej brzuchu. Przesunąłem rękę ku górze i odszukałem palcami sutkę jej lewej piersi. Ujmując ją delikatnie kciukiem i palcem wskazującym, zacząłem pieścić patrzając jej jednocześnie w oczy, ciemniejące z każdą chwilą.

Powoli, bardzo powoli zbliżyłem usta do jej piersi i dotknąłem brodawki językiem, a po chwili uchwyciłem ją wargami. Zwinęła się nagle i uchwyciła mnie rękami za głowę przyciskając ją sobie mocno do piersi.

Ta powściągliwość była w istocie wspaniałą sprawą. Moja wrażliwość osiągnęła niezwykłe nasilenie przez tę długą chwilę, kiedy zajmowałem się jej lewą pierś. Kiedy już wyczerpałem repertuar mego języka, przeniosłem pieśczętę na prawą pierś i zaoferowałem jej tę samą intensywną uwagę.

Uniosłszy biodra, ułożyłem się koło niej tak, abym mógł włożyć jej rękę między nogi i łagodnie rozsunąć jej uda. Kiedy mój środkowy palec odnalazł jej lechtaczkę, była on jeszcze zupełnie sucha. Ale po chwili już odczułem jej wilgotnienie. Kobieta doświadczona, posiłkująca się zarówno wyobraźnią jak i przebytymi już doznaniem, byłaby już w pełni gotowa do aktu; tak więc nie wprowadzała mnie w błąd mówiąc, że jest dziewicą. Powoli, powoli – napominałem sam siebie; nawet tak bardzo się w nią wsuwając, poddany byłem rosnącej żądzy wtargnięcia w nią mą męską bronią w dzikim, zdobyczym porywie.

Kiedy mój palec zbadał już jej ciepłą szczelinę, obróciła się ku mnie twarzą. Teraz napierała tą szczeliną na moją rękę, coraz mocniej i mocniej. Zwróciłem ku sobie twarzami, patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Spojrzałem na jej usta; nie były jeszcze gotowe do pocałunku; zarysowywały się twardą linią zamiast tworzyć miękką, ciepłą gotowość.

Objęła mnie w pasie; dłoń miała ciepłą i miękką. Zapragnąłem, aby ujęła w nią mego kutasa. Ale przecież była dziewicą. Uświadałem sobie, że wstydziłaby się tak szczodrego uczestnictwa w akcie.

Pozostawaliśmy w takim uścisku przez dłuższą chwilę, palcem starałem się wzmagać jej gotowość. Znow popatrzyłem na jej usta i stwierdziłem, że w niemal niedostrzegalny sposób nabrzmiały, ociepliły się, uchyliły je lekko

jej żarłocznej bliskości? Nie wiedziałem wtedy, i do dzisiaj nie wiem. Ale cokolwiek to było, znikło równie szybko jak się pojawiło. Zwróciła wzrok na powrót ku mojemu chujowi, a potem spojrzała mi głęboko w oczy.

– Wypierdol mnie – powiedziała z pasją. – O Boże drogi, panie Dorn, wypierdol mnie pan wreszcie!

Nawet po takim zaproszeniu pamiętałem, że nie mogę jej urazić w tak ważnym momencie. Nachyliłem się nad nią i rozwarłem palcami wargi jej piczki wsuwając między nie główkę kutasa. Aż do kregostupa przeniknął mnie dreszcz wywołany zetknięciem z wilgotnością jej ciała odczuta przez sejsmograf moich zmysłów. Zacząłem masować jej lechtaczkę delikatnymi poruszeniami członka, aż do czasu, kiedy dolna część jej ciała zaczęła unosić się rytmicznie, domagając się głębszego wnिकnięcia. Wtedy powoli, ciągle bardzo powoli, powstrzymując oddech, aby usłyszeć każdą zmianę rytmu jej oddechu, wszedłem w nią pełnym, przemożnym sztychem mej szpady.

Wstrząsnęła się. Mogłem teraz wyczuć opór stawiany przez jej pizdę mojemu wtargnięciu. Otworzyła usta i wydała dziwny odgłos, jakby zaskoczenia i oburzenia. Starałem się złamać jej opór, nie bezlitosnymi, brutalnymi uderzeniami, lecz stopniowo zwiększaniem nacisku. Dyszała ciężko, niemal gardłowo, kiedy wdierałem się coraz głębiej w ciepłą suchosć jej pochwy. Cofałem się i wdierałem znowu, i znowu. Za każdym razem jej ciałem targał wstrząs, oddech zamierał na chwilę, odradzał się w bolesnym westchnieniu. Zatrzymałem się, tkwiąc w niej głęboko, i wiedząc, że mogła wyczuć w swym ciele moje pulsowanie.

– Czy nie boli za bardzo?

– Tak – zwróciła ku mnie głowę, dolną wargę przycinała niemal zębami – Tak, boli. Ale nie przestawaj.

Przywarła do mnie każdym atotem swego ciała. Poruszałem się w niej delikatnie, małymi ruchami w przód i w tył, aż jej pochwa zmiękła, rozogniła się i zwilgotniała cała. Kiedy odczułem miękki spłot jej ciała wokół mego chuja, pojąłem bez potrzeby sprawdzania tego wzrokiem, że wyraz bólu zniknął z jej twarzy. Jej ciało poddało się mojemu ciału, wszystko się już dostroiło. I wtedy zacząłem ją pierdolić.